



NUMER



157/8



1953



PORADNIK KULTURALNO-OSWIATOWY



*wydawnictwo
Lwiatowego Komitetu
Y.M.C.A.
sekcja Polska
w W. Byłaniu*



TREŚĆ

Feliks Bielski: Kontakty str. 1

SWIETLICA

Józef Ekkert: „Mazurek Dąbrowskiego“ str. 2

Ignacy Chrzanowski: Nasz hymn narodowy str. 5

Adam Galeński: Szachy dla przyjemności str. 11

WIECZORNICE

Joseph Conrad (Korzeniowski): Jutro, nowy przekład Wojciecha
Gniatczyńskiego str. 14

WIADOMOŚCI

Zdzisław Broncel: Filmowa rewolucja str. 16

Nowe książki („Pani Sapowska“ W. Grubińskiego) str. 29

Z życia YMCA str. 30

Przypomnienie rocznic str. 3 okł.

Polska YMCA w Niemczech prosi o książki dla dzieci str. 4 okł.

Adres Redakcji i Administracji: 46/47, Kensington Gardens Square, London, W. 1.

PRENUMERATA: Roczna — £1 sh. 1. Półroczna — sh. 12.

Cena numeru pojedynczego sh. 2, podwójnego sh. 4 wraz z przesyłką.

We Francji: Comité d'Action YMCA en France, Sekcja Polska, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16-e.

PRENUMERATA: Roczna 700 frs., półroczna 360 frs. Cena numeru pojedynczego 60 frs., podwójn. 120 frs.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £40. 1/2 str. — £21. 1/4 str. — £11. 1/8 str. — £6. 1/16 str. — £4.

Rękopisów niezamówionych i niezastrzeżonych Redakcja nie zwraca.

Przedruk materiałów oryginalnych i specjalnie dla „Poradnika Kulturalno-Oświatowego“ napisanych
dozwolony tylko za zezwoleniem Redakcji.

Printed by „Gryf Printers (H. C.) Ltd.“, 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.

P O R A D N I K KULTURALNO - OŚWIATOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Nr 157/158
Rok 14

Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Polska Sekcja w W. Brytanii,
46/47, Kensington Gardens Square, London W. 2.

Wrzesień-
październik
1953

K O N T A K T Y

Ustało się przekonanie, że na społeczeństwo uchodźcze spada obowiązek reprezentowania wartości rodzinnych wobec obcych. Nie wystarcza zatem przechowywanie tradycji w niezmiennym postaci i przekazywanie jej naszej młodzieży. Trzeba mieć również na uwadze zainteresowania tych obszarów, które wchłonęły polską falę uchodźczą. Trzeba szerzyć wiedzę o naszej Ojczyźnie i jej kulturze wśród otaczających nas społeczeństw.

Nie trzeba rozwodzić się ani nad aktualnością tego zadania, ani nad jego doniosłym znaczeniem. Natomiast ciągle występują na jaw nieporozumienia, jeśli chodzi o drogi realizacji. Niejasna jest zwłaszcza rola, przypadająca w udziale organizacjom społecznym oraz poszczególnym jednostkom. Należy przyznać, że położenie naszej emigracji stwarza wiele nieuniknionych komplikacji, które w pewnej mierze usprawiedliwiają dotychczasowe zaniedbania. Ale właśnie dlatego sprawa nadaje się do szerokiej dyskusji.

Rozstaliśmy się z Krajem najczęściej gdzieś przed laty czternastu. Przechowujemy pod powiekami żywy obraz Polski, jaka istniała wówczas. Pragniemy podświadomie, aby stan dawniejszy utrzymał się w postaci niezmiennym, aby nic nie zakłóciło piękna i harmonii naszych wspomnień. Marzenia takie ziścić się oczywiście nie mogą. Na prawdę tę zwracał już w swoim czasie uwagę Adam Asnyk w apostrofie do Ojczyzny:

*Musisz zatracić niejeden rys miły
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.*

Jak stąd wynika, wiedza o Kraju wymaga ciągłego wysiłku i nieustannych uzupełnień. Da-

ne, dotyczące stanu sprzed lat blisko dwudziestu, niczyjego zaufania nie wzbudzą. Trzeba gromadzić informacje świeże zajmując właściwe stanowisko krytyczne, oparte na rzeczowej analizie, i po takim przetrwaniu dać realny obraz rzeczywistości.

Ciągle wiemy o Kraju za mało. To, co dociera na drodze oficjalnej, jest materiałem tendencyjnie sfałszowanym. Wydawnictwa i prasa nie mają możliwości samorodnego rozwoju i dlatego są źródłem niepewnym. Zorientowałem się w prawdziwym stanie rzeczy wymaga zastosowania metod specjalnych. Zdaje sobie z tego sprawę prasa uchodźcza, poświęcająca sprawom krajowym coraz więcej miejsca. Prace Instytutu Badań Spraw Krajowych w Londynie pozwalają przypuszczać, że nasza wiedza o Kraju opierać się będzie na studiach gruntownych i rzetelnie przemyślanych.

Z kolei należy ustalić drogi przekazywania naszej wiedzy obcym. Łudzimy się sądząc, że świat wie o nas dużo. Społeczeństwa cywilizowane opanowały w doskonałym stopniu sztukę zapamiętania. Nawet bohaterskie epizody ostatniej wojny, tak bliskie każdemu Polakowi, sprowadzono do roli drugorzędnych szczegółów. A cóż mówić o takich problemach, które były i są naszym wyłącznym udziałem?

Pamiętajmy o tym, że wszelkie poczynania informacyjne z naszej strony dotyczyły osób dorosłych, które stopniowo ustępują miejsca pokoleniu młodszemu. Jeśli chodzi o prasę codzienną, funkcje reporterskie powierza się nieraz jednostkom, stawiającym pierwsze kroki w zawodzie dziennikarskim. Dla tego spotkać się możemy z objawami daleko posuniętej ignorancji w naszych sprawach. Może ona zdumiewać i boleć, ale rozprawiać się z nią należy nie przez oburzenie, lecz przez wyrozumiałą cierpliwość.

ŚWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

JÓZEF EKKERT

„MAZUREK DĄBROWSKIEGO“

Nasz hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła“. J. Wybicki w Paryżu. Organizacja Legionów. Powstanie Pieśni Legionów w Reggio. Autorstwo melodii Pieśni Legionów.

Po upadku powstania kościuszkowskiego wielu wybitnych patriotów, czynnych w insurekcji, opuszczało Polskę w nadziei, że za granicą będą mogli służyć Ojczyźnie. Spodziewali się, że sprawa polska wypłynie z czasem na forum międzynarodowe. W Polsce czekało ich więzienie lub zsyłka na daleki Sybir; temu losowi ulegli — prócz wielu innych — Kościuszko i jego adiutant Niemcewicz. Represje stosowała nie tylko Rosja, lecz także Austria i Prusy. Drogi jednych wiodły do Turcji, drugich do Włoch, lecz najliczniejsi przedzierałi się nie bez trudności do Francji rewolucyjnej, głoszącej nie tylko hasła reform społecznych, lecz także wolności i braterstwa narodów. Do Francji również podążał Józef Wybicki, czasu powstania członek Rady Narodowej, a następnie pełnomocnik przy dywizjach generała Mokronowskiego i Dąbrowskiego, z którym zadzierzgnął stosunek przyjacielski. Zaopatrzony w paszport austriacki na nazwisko Joseph Sokal, opuszcza Wybicki kraj w lutym, docierając w marcu 1795 r. do Szwajcarii. W Bazylei poseł Republiki Francuskiej Barthélémy, życzliwie do Polaków ustosunkowany, dał tak upragniony paszport Wybickiemu. W dniu 5 marca 1795 r. z pracownikiem biura agenta Polski Barssa, jeszcze z czasów powstania kościuszkowskiego, podążył Wybicki do Paryża.

Na gruncie paryskim Wybicki, zawsze skłonny do prowadzenia studiów, uczęszcza do Biblioteki Narodowej, nawiązując serdeczne stosunki nie tylko z jej dyrektorem Van Practem, lecz także profesorem Selis'em z Collège de France. W środowisku polskim ściślejsze stosunki łą-

czyły go również z generałem Wielhorskim i Prozorem; razem tworzyli umiarkowane ugrupowanie, zwane agencją. Skrajniejsza grupa polska, zwana deputacją, pod przewodnictwem kasztelana Mniewskiego, miała gorliwych przedstawicieli w Fr. Ksawerym Dmochowskim i Taszyckim.

Z biegiem czasu Wybicki zyskał zaufanie Dyrektoriatu, od którego otrzymał do wglądu pocztę dyplomatyczną, kierowaną do rządu francuskiego z Rosji i Polski. Dzięki temu nie były Wybickiemu obce bieżące sprawy polityczne polskie, o których spostrzeżenia przysyłał Dyrektoriatowi. Z czasem nawiązał Wybicki korespondencję z generałem Dąbrowskim, bawącym wówczas w Warszawie i wabionym na przemian do służby w wojsku rosyjskim i pruskim. Kontaktowi z członkami rządu francuskiego zawdzięczał Wybicki wiadomość o przebywaniu we Francji licznych jeńców — Polaków i Rusinów z wojska austriackiego. Sugeruje więc rządowi francuskiemu myśl tworzenia z tych jeńców legionu polskiego, walczącego pod naczelnym dowództwem francuskim przeciw wspólnym wrogom.

Lecz Dyrektoriat zainteresował się sprawą legionu polskiego dopiero z chwilą przybycia do Paryża generała Dąbrowskiego. Dąbrowski z listem Dyrektoriatu udaje się do Włoch, do głównej kwatery naczelnego wodza Bonapartego, który miał ostatecznie zdecydować o ewentualnym utworzeniu korpusu posiłkowego polskiego. Pierwsza rozmowa Bonapartego z Dąbrowskim w dniu 3 grudnia 1796 r. nie przyniosła rozstrzygnięcia. Jednak i charakter Dąbrowskiego i jego wiedza wojskowa dawały pełną rękojmię Bonapartemu, że legion polski będzie pożądanym wkładem wojennym w dalszych operacjach wojskowych na ziemi włoskiej.

Z końcem grudnia zapadła decyzja tworzenia

legionu. Energiczna rekrutacja przyniosła po kilku miesiącach nieoczekiwane rezultaty w postaci 6.000 masy żołnierskiej, zorganizowanej i robiącej szybkie postępy w ćwiczeniach prowadzonych w języku polskim, pod dowództwem polskich oficerów, a pod czujnym nadzorem i kierownictwem wodza legionów generała Dąbrowskiego. Główna masa żołnierska legionowa — to chłop polski i częściowo ruski, oderwany poborem austriackim od pług i wyrwany z rodzinnej wioski. Chętnie śpieszyli do szeregów, w których zamiast surowego drylu spotykali się z liberalnym stosunkiem przełożonych i zrozumiałą mową ojczystą. Rewolucyjne regulaminy budziły uświadczenie obywatelskie, podnosząc moralność żołnierską na wyższy poziom.

Z obserwacji bratnich wojsk francuskich oficerowie polscy widzieli ogromny wpływ na polu walki pieśni-pobudki, Marsylianki. Gorąco pragnęli, aby i żołnierz polski znalazł w piosence polskiej taką samą pobudkę do waleczności. Zresztą korpus oficerski, owiany gorącym uczuciem patriotycznym, szukał formy dla skrytalizowania swych uczuć i dążeń. Utrata wolności, obce jarzmo, obce prawo, język i zwyczaj, gorzki chleb niewoli — wszystko to wołało o protest. Z niecierpliwością oczekiwano zapowiedzianego przyjazdu do głównej kwatery legionów Józefa Wybickiego, którego uczucia patriotyczne, prace literackie, naukowe i obecna działalność wielce przyczyniały się do budzenia ducha narodowego i godności narodowej na obczyźnie.

Od Wybickiego właśnie mieli zażądać, po przybyciu do kwatery, takiej piosenki, która w zmienionych warunkach politycznych, po utracie niepodległej Ojczyzny, wskazywałyby drogę czynu żołnierzowi i prowadziła go do wolnej Ojczyzny. Istotnie w początku lipca zapewne Wybicki przybywa do głównej kwatery legionów do Reggio w półn. Włoszech. Sytuacja ówczesna polityczna przyczyniała się do nastrojów optymistycznych w legionie. Pomyślny przebieg wojny z Austrią budził nadzieję wkroczenia z bronią w rękę na ziemi polskie. Wybicki na widok żołnierza polskiego układa upragnioną pieśń dla legionu. W pośpiechu ułożone słowa nowej pieśni-pobudki wywołują niesłychany entuzjazm zebranych oficerów, kiedy Wybicki na specjalnym zebraniu zanucił swoją pieśń. Obecni przyjęli z zapalem zarówno melodię, jak i tekst pieśni. Tekst bowiem pieśni był oddźwiękiem ich uczuć i dążeń, aby z bronią w rękę wywalczyć wolność ojczyźnie. Skoczny rytm mazurka rozgrzewał,

przypominając swoim dziarskim rytmem ulubiony taniec narodowy, ale zarazem elektryzował zebranych tempem.

Pieśń przyjęła się również i rozpowszechniła w całej Polsce, przyjmowana wszędzie z zapalem, tłumionym przez rządy zaborcze represjami w stosunku do wykonawców tej pieśni. Mazurek Dąbrowskiego — tak bowiem powszechnie nazywano nową pieśń — jest pieśnią żołnierską, a zarazem pieśnią ludu. Służy do marszu żołnierzowi, mimo że jego takt jest trójdzielny. Grany przez orkiestrę wojskową, budzi gorące uczucia w słuchaczu. Mazurek Dąbrowskiego był wielkim wydarzeniem w Polsce, która przyjęła go gorąco i tak z czasem jego melodię spopularyzowała, że nie było równie popularnej pieśni żołnierskiej jak „Pieśń Legionów”. Na polu walki refren mazurka tak zapalał, że porywał młodzież legionową i podniecał do boju.

Najdawniejszy przekaz tej pieśni to autograf Wybickiego, nie zaopatrzonej datą, ani melodią, przesłany jako fascimile w szeregu odbitek przez Bogusława Kraszewskiego, bratanka Józefa Ignacego Kraszewskiego, do bibliotek na ziemiach polskich i za granicą, m.in. do Rapperswyłu. Poniżej podajemy pieśń w oryginalnej pisowni. Autograf pisany był zapewne wkrótce po ułożeniu pieśni, ponieważ nie ma w nim zmian ustalonych później.

PIEŚŃ LEGIONÓW POLSKICH WE WŁOSZECH

*Jeszcze Polska nie umarła,
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca moc wydaria,
Szablą odbijemy.*

*Marsz, marsz Dąbrowski
Do Polski z ziemi włoskiej
Za Twoim przewodem,
Złączem się z narodem.*

*Jak Czarniecki do Poznania,
Wracał się przez morze
Dla ojczyzny ratowania,
Po szwedzkim zaborze.*

*Marsz, marsz Dąbrowski
i t. d.*

*Niemiec, Moskal nie osiedzie,
Gdy iąwszy pałazza
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza.*

*Marsz, marsz Dąbrowski
i t. d.*

*Przydziem Wisłę, przydziem Wartę,
Będziem Polakamy.
Dał nam przykład Buona Parte,
Jak zwyciężać mamy.*

*Marsz, marsz Dąbrowski
i t. d.*

*Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany,
Słuchaj ieno, pono nasi
Biją w tarabany.*

*Marsz, marsz Dąbrowski
i t. d.*

*Na to wszystkich iedne głosy:
Dosyć tey niewoli,
Mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoi.*

Wśród oficerów legionowych „Mazurek Dąbrowskiego“ wywołał natychmiastowy aulauz i entuzjazm. Jeśli chodzi o szarą masę żołnierską, to chociaż i jej rytm mazurka podobał się, jednak treść nowej pieśni wymagała dłuższego czasu dla przejęcia się nią i jej polubienia. Zaświadcza to sam Dąbrowski w liście z 29 sierpnia 1797 do Wybickiego. (1)

O popularności pieśni świadczą liczne warianty, które się wkrótce pojawiły, często nie szczeniące i Bonapartego i Dąbrowskiego.

Wpływ pieśni przejawia się również w oryginalnej twórczości pieśniarskiej legionów, pozabawionej często waworów artystycznych. Tekst pieśni z biegiem czasu ulegał niektórym zmianom, trwale hymnowi przyswojonym. Do takich zmian można zaliczyć wyrazy: „nie umarła“ zmienione na: „nie zginęła“. W refrenie przedstawiono kolejność wyrazów: „Marsz, marsz, Dąbrowski, Do Polski z ziemi włoski“ na: „Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski“, itp.

Tekst pieśni ulegał także często opuszczeniom całych zwrotek zależnie od sytuacji politycznej. Takim opuszczeniom ulegały zwrotki: „Niemiec, Moskal nie osiądzie“ itd., oraz zwrotka ostatnia: „Na to wszystkich jedne głosy“ itd.

Jakim walorem zawdzięczał Mazurek Dąbrowskiego swoją nadzwyczajną popularność w szereгах legionowych i wśród narodu polskiego,

nękanego przez zaborców represjami: więzieniem, zsyłką na daleki Sybir, konfiskatą majątków, wprowadzaniem nowego prawa, nowego języka urzędowego?...

Spółceństwo polskie w każdym z trzech zaborów spotykało się niemal na każdym kroku z deklaracjami zaborców, że Polska została wykreślona spośród państw europejskich. Lecz jakby na przekór takim głosom, do Kraju docierały słowa, nucone przez najgorętsze żywioły narodu polskiego, zgrupowane w legionach Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie umarła, kiedy my żyjemy“. Słowa te, popierane bohaterskim czynem orężnym walczących pod naczelnym wodzostwem Bonapartego legionistów, miały swoją wagę i znaczenie. Ofiara krwi miała przekonującą wymowę, afirmując słowa piosenki „Jeszcze Polska nie umarła“. Słowa te drażniły sumienie zaborców; toteż dołożą wszelkich starań, by pieśń tę zagłuszyć, przestraszyć jej zwolenników więzieniem i innymi represjami. Żywy duch narodu protestował tą pieśnią i czynem żołnierskim przeciw konwencji podziałowej. Twórca pieśni Wybicki już przed laty wypowiadał idee, zawarte również i teraz w prostych słowach pieśni o odrodzeniu ducha dzielności w narodzie, męstwa żołnierskiego. Przypominając czasy Zamoyskiego i Czarnieckiego, wskazywał geniusz Bonapartego, którego zwycięstwa Polakom służą za zapowiedź, że szablą odbierzemy to, „co nam obca przemoc wzięła“. Żołnierz legionowy, z przejęciem nucąc radosną pieśń, żył nadzieją, że zwycięstwa nad nieprzyjacielem zawiodą go do rodzinnej ziemi, po przejściu Wisły i Warty — zgodnie z przewidywaniem wodza legionów — aby przez ziemie Habsburgów dotrzeć do Polski. W słowach pieśni, że po przejściu Wisły i Warty „będziem Polakami“, znajdujemy wyraz powszechnie wówczas panującej opinii, że jedynie w łączności z bytem państwowym można utrzymać naród przy życiu; bez niepodległego bytu utrzymanie narodowości uważano za niemożliwe. Pełen malowniczości obraz ojca, płaczącego łzami radości na odgłos dźwięku tarabanów legionowych, zapowiadał żołnierzowi, z jaką radością witać będzie naród zjawienie się narodowych wojsk na ziemi ojczystej. Wymowna jest nadzieja w zwrotce końcowej, że może Opatrzność sprawi, że i ukochany przez naród Kościuszkę stanie na czele legionów i że cały naród zgodnie pochwyli za broń, aby uwolnić się od zniechęconej niewoli. Słowa nadziei i wiary proste, niewyszukane.

(1) Por. prof. Skałkowski i Archiwum Wybickiego, t. I, p. 265 nr 166. „Szkoda, że nie jesteś z nami, przyjacielu, bez ciebie smutno, z Tobą prawdziwa konsolacja. Żołnierze do Twojej pieśni coraz więcej gustu nabierają; my ją sobie często nuczimy z winnym szacunkiem dla autera“.

trafiały do serc szerokich sfer społecznych, patriotycznej szlachty i uświadomionego mieszczaństwa. Tekst tej prostej pieśni żołnierskiej pokrzepiał serca licznych pokoleń, stając się wreszcie po dojściu do dojrzałości szerokich warstw ludu polskiego własnością każdego prawego serca polskiego, z którego najbardziej wymyślne usiłowania wrogów narodu polskiego jej nie wyrwą. Rozległa działalność literacka Wybickiego, czy w dziedzinie poezji dramatycznej, czyto zagadnień filozoficznych i pedagogicznych przebrzmiała z czasem; sławę jego ugruntowała nieśmiertelna pieśń żołnierska „Jeszcze Polska nie umarła“, która z czasem stanie się hymnem narodowym.

Autorstwo zarówno tekstu pieśni, jak i melodii, przez długi szereg lat było nieznanne. Ogólnie zadawano się i ograniczano do podawania tekstu pieśni, nie dołączając nawet melodii. Milczenie na temat autorstwa tekstu i melodii przerwał J. L. Chodźko w swoich wydawnictwach: „Histoire des Légions polonaises en Italie“, Paris 1829 i następnie: „La Pologne historique, littéraire, pittoresque“, 3 t., Paris 1835 — 1842. Zwłaszcza ostatnie dzieło zawiera artykuł Wojciecha Sowińskiego o Mazurku Dąbrowskiego (2). Wydawnictwa te jednak piszący o pieśni legionów najczęściej zbywali milczeniem. A jednak o ile wiadomo, najstarsza melodia pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“ znajduje się w obu powyższych wydawnictwach w opracowaniu muzycznym W. Sowińskiego. Niepewność zwłaszcza odnośnie autorstwa melodii utrzymuje się w literaturze naszej traktującej o „Pieśni legionów“ niemal do ostatnich dni. Autorstwo tekstu doczekało się należytego oświetlenia w cennej

(2) Cfr. Chodźko op. p.430, t.I. artykuł W. Sowińskiego.

IGNACY CHRZANOWSKI

N A S Z H Y M N N A R O D O W Y

(W skróceniu)

...Dlaczego PIEŚŃ LEGIONÓW, która zrazu była tylko okolicznościową pobudką wojenną, podobnie jak BOGURODZICA była zrazu tylko pieśnią kościelną, stała się biegiem czasu, podobnie jak ona, naszym PATRIUM CARMEN, naszym hymnem narodowym?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, zobaczmy na przód, czym była w stosunku do dawniejszej — wcale bogatej — poezji patriotycznej epoki rozbiorów, czy zawierała w sobie co nowego.

PIEŚŃ LEGIONÓW WOBEC TRADYCJI LITE-

pracy o „Pieśni legionów“, ogłoszonej przez prof. L. Finkla niemal w sto lat po powstaniu tej pieśni. (3).

Na podstawie facsimile autografu Pieśni Legionów nadesłanego przez Bogusława Kraszewskiego do Biblioteki im Ossolińskich we Lwowie, podał prof. Finkel jej treść w oryginalnym brzmieniu. Wielu pisarzy przypisywało autorstwo melodii M.K. Ogińskiemu, znanemu kompozytorowi polonezów. Krytyczny głos A. Polińskiego (4) wyjaśnił, że jeśli Ogiński w swoich pamiętnikach wspominał o skomponowaniu marsza dla Legionów, to nie może to dotyczyć Mazurka Dąbrowskiego, ponieważ mazurek i marsz mają różne takty: marsz ma takt dwudzielny a mazurek trójdzielny. Pogląd Polińskiego przyjął również S. Askenazy, znakomity badacz historii nowoczesnej, w swoim dziele „Napoleon a Polska“; prof. Askenazy miał jeszcze jeden dowód więcej, że Ogiński nie był autorem mazurka Dąbrowskiego. Znany mu był mianowicie list Ogińskiego, w którym wyraźnie oświadcza — wkrótce po skomponowaniu swego marsza, że przesyła gen. Dąbrowskiemu skomponowanego przez siebie marsza dla Legionów 5).

Z biegiem czasu dyskusja na temat autorstwa melodii, przynosiła cenne przyczynki wyjaśniając niezbitnie pewne fakty i rzucając światło na temat ten, dotąd niepewny i sporny.

(3) Prof. L. Finkel: Pieśń Legionów: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Lwów 1894.

(4) Cfr. A. Poliński: „Dzieje muzyki polskiej“. Lwów 1907, p.180 syg. O kilkadziesiąt lat wcześniej podobnie przedstawił autorstwo melodii W. Sowiński u Chodźki: „La Pologne historique“ p.430, t.I.

(5) Cfr. W. Smoliński: Przegląd historyczny.

RACKIEJ. Jako pobudka wojenna wcale nie była nowością: znała takie pobudki już poezja konfederatów barskich; po pierwszym rozbiórce słychać je coraz częściej, w epoce zaś Sejmu Czteroletniego, a cóż dopiero podczas powstania Kościuszki, wysuwają się one na samo czoło liryki patriotycznej; nie brak i przekładów z francuskiego — ani PIEŚNI MARSYLICZYKÓW (1), ani pieśni CA IRA (2).

(1) Rkps Bibl. Zamoyskich, nr 839 i 928.

(2) Rkps Bibl. Akademii, nr 615.

Sam Wybicki, jeszcze za czasów niepodległości, pisywał pobudki wojenne, czy to pośrednio — w operze SAMNITKA, czy też bezpośrednio — w operze POLKA:

Polacy, męstwo jeśli w nas nie zgasło,
Jeśli nam miła jest Ojczyzna nasza,
Wiara i Wolność, — na tak święte hasło
Siadajmy na koń, dobądźmy pałasza,
Odwagą, męstwem i siłą ramienia
Okazmy dzielność polskiego imienia!

Nawiązywanie do dawnej, rycerskiej tradycji, mianowicie do Czarnieckiego, także nie było w naszej liryce patriotycznej XVIII wieku żadną nowością. Już Karpiński w pieśni Z OKOLICZNOŚCI CZASÓW CZARNIECKIEGO wołał:

Pozwól, Czarniecki! Nim twój popiół zginie,
Niech go rozrzucę po tej czezej krainie;
Może bohater, z niego wstając, jaki
Zgodzi z dawnymi dzisiejsze Polaki.

Dmochowski zakończył swoją POBUDKĘ DO NARODU słowami:

Trzeba koniecznie być nam Czarnieckimi,
Inaczej — pewne pęta w naszej ziemi. (3)

A i sam Wybicki — w operze POLAK nie zapomniał o Czarnieckim.

Także i ojciec, zwiastujący swej „zapłakanej“ Basi wieść radosną, że „nasi biją w tarabany“ (4) nie jest w pieśni Wybickiego pomysłem nowym — o tyle, że w pobudkach wojennych z epoki Sejmu Czteroletniego (zwłaszcza w pieśniach Franciszka Makulskiego) dziewczęta biorą żywy udział w sprawach ogólnonarodowych, płaczą i żegnają się z ukochanymi, idącymi na wojnę, radują się na myśl o ich zwycięskim powrocie.

Lecz nie tylko motywy literackie PIEŚNI LEGIONÓW, ale także niektóre jej myśli i uczucia nie były wcale nowością w naszej liryce patriotycznej XVIII wieku. Nadzieję zwycięstwa nad Niemcem i Moskałem uzależnia Wybicki od powszechnej zgody. Otóż nawoływanie do zgody, do jedności, wpajanie w społeczeństwo wiary, że, jak mówi Krasicki w satyrze ŚWIAT ZEPSUTY,

(3) Rkps Bibl. Akademii, nr 615.

(4) Basią w tej strofie jest, jak mniema L. S. Korotyński (POECI LEGIONIŚCI, Warszawa 1907, str. 11), Barbara Chłapowska, która w roku 1796, kiedy Dąbrowski opuszczał Polskę, była jeszcze dzieckiem, a która w lat jedenaście później oddała mu swą rękę. (W autografie Wybickiego czytamy: „Już tam ojciec do swej Basi mówi zapłakany“, — zamiast zapłakanej; — podobnie napisał Wybicki „z ziemi włoski“ zamiast włoskiej.).

...okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie,

było zarówno w poezji, jak w publicystyce stanisławowskiej bardzo częste, zwłaszcza w epoce Sejmu Czteroletniego.

Nie dosyć na tym. Wiara w przyszłość, bijąca z PIEŚNI LEGIONÓW, jest w pewnej mierze owocem tej usilnej i uczciwej pracy, którą podjęły dopiero za Stanisława Augusta najprzedniejsze umysły i najszlachetniejsze serca polskie około odrodzenia zwyrodniałej pod każdym względem Ojczyzny; tą wiarą biło serce Konarskiego, kiedy uczył, że „i grzech jest wielki, i nigdy rze godzi się desperować o Reczypospolitej“; ta wiara tliła się nawet w sercu Krasickiego, kiedy wołał: „Rozpacz — podział niekzemnych“; ta wiara ożywiała serca Staszica i Kołłątaja, kiedy nawoływali naród do ratowania ojczyzny.

Tak na początku panowania Stanisława Augusta, bezpośrednio po okropnej epoce saskiej, nie mogłaby się zrodzić — nawet w tak szlachetnym sercu, jakie biło w piersi Wybickiego, — tak mocna wiara w siły żywotne Polski; na to trzeba było — raz jeszcze — długiej, usilnej i uczciwej pracy całego szeregu przodowników odradzającego się społeczeństwa.

KWIAT NOWOŚCI W PIEŚNI LEGIONÓW. Wszystko to prawda, a jednak — mimo wszystko — bije z PIEŚNI LEGIONÓW „nowa jasność“, „świeża chęć życia i świeża odwaga“.

Pamiętajmy przecie, że po upadku powstania kościuszkowskiego wiara w przyszłość uleciała z serc polskich; i kiedy się czyta poezję z tej epoki, to naprawdę przypominają się słowa Krasickiego:

Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się
[zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: Tu nie ma nadziei.

Bo czy nie ten właśnie napis wyrasta z ŻALÓW SARMATY Karpińskiego? I w BARDZIE POLSKIM Czartoryskiego jest raczej pragnienie nadziei, aniżeli nadzieja. Cóż dopiero powiedzieć o wierszu Karpińskiego DO REPNIANA:

Ten język i te wiersze słowami polskimi
Może za sto lat znane nie będą w tej ziemi.

A Morełowski wróżył:

Nieszczęsne matki polskie, przebóg! Nie
[Polaków,
Lecz wydacie nam Niemców, Moskalów,
[Prusaków!

Czy to nie straszne? Woronicz nie tracił wprawdzie nadziei, ale pokładał ją już tylko — w miłosierdziu Bożym. A i bezimienny autor **TRENÓW UPADKU POLSKI** (5), chociaż wołał: „Precz z tronów, tyrany!“ — wiarą swoją w ich klęskę opierał nie tyle na własnych siłach narodu, ile na wytworzonym przez filozofię oświecenia (a podzielonym i przez Woronicza) poglądzie, że nie „traf“, tylko niezmiennie prawo Boże panuje na świecie i że prędzej czy później zatryumfuje, bo upadek Polski był tylko „trafem“.

Wiara w szczęśliwą przyszłość narodu była w sercach polskich po upadku ojczyzny tym słabsza, że po wieku XVIII odziedziczono pogląd, iż się bez niepodległego państwa naród długo ostać nie może. „Kiedykolwiek jaki naród — pisał Tadeusz Czacki w dziele **O LITEWSKICH I POLSKICH PRAWACH** — przestaje być samorządnym, mija kilka ledwie pokoleń, aliści wzgarda dla nieszczęścia i obojętność dla niebędącego kraju oddaje go zapomnieniu“. Podobnego rodzaju glosy rozlegały się często na początku XIX wieku.

Wybicki, syn wieku oświeconego, podzielał niezawodnie pogląd, że nie ma narodu bez niepodległego państwa (6); — ale jaki stąd wyprowadził wniosek? Taki, że trzeba niepodległe państwo odzyskać i że je odzyskać — można, a raczej, że je Polska odzyska na pewno. Jak nieco później bezimienny autor broszury **CZY POLACY MOGĄ SIĘ WYBIĆ NA NIEPODLEGŁOŚĆ?** wołał: „Polacy!... zachęcam was do pewnych zwycięstw, gdy z odwagą rzucicie się na nieprzyjaciół; — macie wszystko do zwycięstw, odważcie się tylko zwyciężyć“, — tak Wybicki, cn pierwszy z poetów polskich i na długo on jeden jedyny, zawołał:

Co nam obca moc wydarła,
Szablą odbijemy.

(5) **Włoch, POLSKA ELEGIA PATRIOTYCZNA W EPOCE ROZBIORÓW**, str. 127—132.

(6) Widać to wyraźnie z samego tekstu pieśni, mianowicie ze strofy trzeciej: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, b ę d z i e m Polakami“, Dlaczego dopiero „będziem“? Dlatego, żeśmy nimi być przestali z chwilą utraty niepodległości i że nie będziemy nimi, dopóki niepodległości nie odzyskamy. Przypominają się słowa Albertrandiego (na pierwszym zgromadzeniu publicznym Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dnia 23 listopada 1800 r.: „imię n a r o d u polskiego w rzędzie narodów przekreślone widzimy“; naród polski jest „w o b c ą n a r o d ó w b r y ł ę p r z e l a n y“. Podobnie pisał Dmochowski jeszcze w 1803 r.: „Już naród polski przelany w bryłę obcych narodów; znikną powoli charaktery, które go znamionowały“. Zupełnie tak samo interpretował słowa „b ę d z i e m Polakami“ Stanisław Grabski (w odczycie **O DROGACH HISTORYCZNYCH POLSKI**“, wygłoszonym w Krakowie dnia 11 grudnia 1921 r.).

I to właśnie jest „kwiat nowości“, którym porządną w swej pieśni. Siedem słów tylko, a ileż w nich treści! co za wspaniała prostota żołnierska! co za siła cudowna! jakie zdrowie moralne! jaka święta prawda! Z ducha, zaklętego w te słowa, urodzi się przykazanie Mickiewicza:

Gwałt niech się gwałtem odciska!

Z tego samego ducha urodzi się przykazanie Słowackiego:

Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie,
A przysiężemy, — to zmartwychwstać musi.

O ileż więcej mądrości narodowej zawierają w sobie te słowa Wybickiego, aniżeli późniejsza nasza filozofia mesjanistyczna!...

Ale to jeszcze nie wszystko. Oprócz tych słów są w jego pieśni inne:

Jeszcze Polska nie umarła,
Póki my żyjemy.

Cóż z tego, że Polski nie było na mapie: ci, którzy mieli serce i patrzyli w serce, widzieli ją tam na dnie i wierzyli, że prędzej czy później powróci na świat Boży. Otóż tę świętą prawdę własnego serca i niewielu innych, wierzących podówczas serc polskich podniósł Wybicki do godności aktu wiary i nadziei narodowej, do wysokości przykazania narodowego (7). I nie przesadą, tylko prawdą jest to, co o czterech pierwszych słowach **PIEŚNI LEGIONÓW** powiedział Witkiewicz, że „są to największe, najdonioślejsze słowa“, jakie po utracie niepodległości „usta polskie wymówiły; jest to treść i istota polskiego sumienia i a“. Tak; podobnie jak treścią i istotą sumienia ludzi średniowiecznych była modlitwa o „zbożny pobyt“ na świecie i o „rajski przebyt“ za światem, tak treścią i istotą sumienia polskiego w epoce, na której prognoza Polska zginęła, stała się wiara, że „jeszcze Polska nie zginęła“. „Na dymiących się pobojuwiskach, wśród pożogi miast zdobywanych, ponad cichymi polami wsi polskiej, przy huku kół i młotów warsztatu, przy pracy badaczy naukowych, w szczęściu i niedoli, z kajdanami na nogach, czy z blaskiem zwycięstwa na czole, wszędzie

(7) „Wrzekome sieroty, niby pogrobowe już dzieci, którym od kolebki zwiastowano, że ich(!) Matka odumarła... przy każdym nadziei zaświcie i po każdym jej zachodzie, nuąc wiernie, ufnie i miłośnie, bez rozpaczki, choć w żalobie: **JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA, KIEDY MY ŻYJEMY**. Taki akt Wiary, Nadziei i Miłości całego narodu, w prostej pieśni zawarty, bodaj czy nie więcej dowodzi nad wszelkie rozumowania“. (Cięszkowski, **OJCZE NASZ**, tom drugi, rozdział piąty).

i zawsze „niósł z sobą Polak w tej okropnej epoce ducha tych czterech wyrazów“. One były dla nas „tak konieczne, tak z nami zrosnięte“, że, zdawałoby się, „każdy je sam wiedział, że sam je, zanim żyć począł, wypowiedział, lub że się urodził gdzieś w niebie nad polską ziemią, że nie było i nie ma wiadomego człowieka, który je wymówił pierwszy“ (8).

A jednak taki człowiek był — i nazywał się Józef Wybicki. On to dopiero, dzięki swemu gorącemu i czystemu sercu, które nieraz widzi głębiej i dalej niż rozum, ujrzał prawdę, której mędrsi od niego nie widzieli; on dopiero uświadomił duszy narodowej jej najdrogocenniejszy i najświętszy skarb.

Oto dławczego PIEŚŃ LEGIONÓW, która zrazu była wyznaniem wiary tylko nielicznych serc, obiegła całą Polskę od morza do morza, poleciała i w odwieczne puszcze litewskie, gdzie powtarzały ją „dęby dębom, bukom buki“, weszła w dusze i krew narodu; ona to z Polski zrobiła nazwiska

Pacierz, co płacze, i piorun, co błyska;

krótko mówiąc, ona to stała się polskim hymnem narodowym.

I z tego stanowiska, które wywalczyła sobie ostatecznie podczas powstania listopadowego, nie zepchnęły jej — i nie mogły zepchnąć — dwie inne popularne pieśni narodowe: ani Z DYMEM POŻARÓW, ani BOŻE COŚ POLSKĘ, albowiem ani jedna, ani druga nie wyraża tego i tak, co i jak wyraża MAZUREK DĄBROWSKIEGO. Pieśń „Z dymem pożarów“ jest przede wszystkim pieśnią żałoby patriotycznej i strasznej skargi, zanesionej przed tron Boga, i dopiero w ostatniej strofie jest pieśnią wiary, ale nie w odbudowanie Polski, tylko w zemstę nad wrogiem. A pieśń: „Boże, coś Polskę“, która była pierwotnie hymnem oficjalnym Królestwa Kongresowego na cześć cesarza i króla Aleksandra i później dopiero, ulegając wielu zmianom i uzupełnieniom, stała się — już w przeddzień powstania styczniowego — ulubioną pieśnią narodową, — „ta pieśń rozpaczy i niemocy“, jak ją słusznie nazwano (9), buduje przyszłość ojczyzny na wierze nie we własne siły narodu, tylko w miłosierdzie Boże. Tutaj w „Pieśni Legionów“, — inaczej: nie o zemstę nad wrogiem tu chodzi, tylko o wolność ojczyzny, i nie nadzieja wolności, oparta na wierze w miłosierdzie Boże, jest sercem tej pieśni, tylko p e w n o ś ć odzyskania wolności, oparta na wierze we własne siły narodu.

KWIAT MŁODOŚCI W PIEŚNI LEGIONÓW.
Dzisiaj wolność z dziedziny uczuć, marzeń i posta-

(8) Witkiewicz, j.w., str. 69—70.

(9) Lorentowicz POLSKA PIEŚŃ NIEPODLEGŁA, str. 86. — Podczas powstania styczniowego śpiewano tę pieśń po kościołach w diecezji podlaskiej — z rozkazu biskupa O. Beniamina.

nowień przeszła w dziedzinę rzeczywistości. Czy z tego wynika, żeby PIEŚŃ LEGIONÓW miała utracić swój charakter hymnu narodowego, żeby miała przejść w dziedzinę wspomnień? Podczas wojny rozlegały się tu i ówdzie głosy, że kiedy Polska odzyska niepodległość, to pieśń JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA przestanie być aktualna, że nie będzie mogła już być hymnem narodowym, że trzeba będzie ogłosić konkurs na nowy hymn (10). Wolne żarty! Jak religia powstaje nie z głowy, tylko z serca, tak pieśń narodowa (która, jeśli jest naprawdę wyrazem żywej duszy narodowej, to zawsze ma w sobie coś religijnego) nie powstaje na zamówienie, tylko się rodzi z wielkiej chwili dziejowej, „drgnieniem serca“ z niej „dobyta“. Tak urodziła się MARSYLIANKA, tak urodziła się i PIEŚŃ LEGIONÓW. I jak Francuzi za nic w świecie nie wyrzekliby się Marsylianki jako hymnu narodowego, tak i my po co mamy szukać innego hymnu, mając Pieśń Legionów? Bo i co się w niej przestarzało? Może przyśpiew: „Marsz, marsz Dąbrowski“? Albo strofa: „Jak Czarniecki do Poznania“? Albo może strofa, kończąca się słowami: „Kościuszkę Bóg pozwoli“? Ależ naród prawdziwie kulturalny, zachodnio-europejski, żyje i żyć powinien nie tylko terażniejszością i przyszłością, ale i przeszłością; a do tego naród, który przeszedł takie koleje, jak my, zawsze powinien nosić w sercu tych swoich wielkich bohaterów, którzy go — jak Czarniecki — bądź z otchłani nieszczęść wyrwali, bądź — jak Kościuszkę i Dąbrowski — wyrwał z niej usiłowali, ocalając przez to honor narodowy. Więc niechaj przez długie jeszcze wieki nie tylko nauka dziejów ojczystych, ale i nasz hymn narodowy przypomina nam o tych naszych bohaterach! Pamięć o nich

...jak lampa z kryształu,

Ubrana pędzlem w malowne obrazy,

Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,

Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,

Jeszcze świeżością barwy znęci oczy...

A jeśli to wszystko prawda, to pamiętajmy, nie wolno nam i dzisiaj, kiedy śpiewamy hymn narodowy, pomijać w nim ostatniej strofy — o Kościuszcze, tym bardziej, że i dzisiaj modlitwa do Boga, żeby nam „pозwolił“ takiego bohatera, jak Kościuszkę, nie powinna opuszczać naszych serc.

Lecz może przestała być świeżą inna strofa? — ta, która mówi, że

(10) Doskonałą odprawę podobnego rodzaju głosem dał Lorentowicz w NOWEJ GAZECIE roku 1916 (przedruk w CZASIE, dnia 14 grudnia tegoż roku, Nr 628).

Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy? (11)

Nie, i ona jest młoda — i będzie młoda, i to nie tylko dlatego, że Bonaparte zawsze będzie przykładem dla zwycięskich wodzów, ale nade wszystko dlatego, że ta strofa, mówiąc o Bonapartem, mówi nam o Francji, z którą jeśli chcemy, żeby Polska nie zginęła, musimy być w sojuszu i przyjaźni. Słowa, które po utworzeniu przez Napoleona Księstwa Warszawskiego wypowiedział Kołłątaj, nie straciły do dziś dnia swej mądrości i — z pewnymi zastrzeżeniami — mogą i powinny być, i dzisiaj i jutro, gwiazdą przewodnią naszej polityki; państwo nasze „musi być złączone z Francją przez alians konstytucyjny, to jest przez wieczny związek, który wszystkie inne wyłącza“ (12); albowiem, gdy doświadczenie przeszło dwóch wieków przekonało każdego, iż wpływ sąsiadów na nasze interesy wewnętrzne pograżywszy nas w anarchii, przywiódł narzeczcie zgubę imienia polskiego, przeto, wyrzekając się... na zawsze najmniejszego stronnictwa z tymi sąsiedzkimi mocarstwami, powinniśmy zatkać uszy na wszelkie, choćby najpochlebniejsze ich podszepty; ...powstałiśmy przez Francję, winniśmy jej nasz byt terażniejszy; przez nią mamy być doprowadzeni do tej wielkości, jaka nam w nowej polityce przystoi, a zatem nie powinniśmy być w żadnym innym związku, tylko z Francją, i tą wielką prawdę wpajać z mlekiem... naszym potomkom“ (13). Zapewne, trzeźwemu politykowi *n i c z e g o* nie wolno się wyrzekać na zawsze, — niczego, a więc także i „stronnictwa z sąsiedzkimi mocarstwami“: ale ponieważ nie tylko dzisiaj, ale i bardzo długo jeszcze, jeśli nie zawsze, potęga Polski, co więcej, sama jej niepodległość, będzie niemożliwością polityczną bez aliansu z Francją; ponieważ w sojuszu z nią „mamy być doprowadzeni do tej wielkości, jaka nam w nowej polityce przystoi“, — więc jedynie z tymi „sąsiedzkimi mocarstwami“ wolno nam mieć „stronnictwo“, z którymi ma je Francja. Niechże tę prawdę polityczną i nam, i naszym potomkom przypomina ta strofa PIEŚNI LEGIONÓW.

Mówi jeszcze mądrze Kołłątaj, — mądrze już bez wszelkich zastrzeżeń — że „apetyt podziału krajów trwa jeszcze dotąd“ (14). Czy dzisiaj jest inaczej?

(11) W tej strofie słowa „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę“ potrzebują komentarza: według planu Dąbrowskiego, legiony miały iść przez Galicję do Wielkopolski, a więc najprzód przejść Wisłę, a dopiero później Wartę (Finkiel, O PIEŚNI LEGIONÓW, str. 19).

(12) UWAGI NAD KSIĘSTWEM WARSZAWSKIM, str. 139.

(13) Tamże, str. 211—13.

(14) Tamże, str. 12.

Nie ludźmy się ani na chwilę: nasi sąsiedzi nieprędko jeszcze oswoją się z naszą niepodległością, — o tym musimy ciągle pamiętać. A jeżeli tak, to nie mówmy, że się w naszym hymnie narodowym przestarzała strofa:

Niemiec, Moskal nie osiedzie,
Gdy, jawszy pałazą,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I Ojczyzna nasza.

Nie, i ta strofa kwitnie do dziś dnia młodością i świętością przykazania narodowego — i długo jeszcze kwitnąć będzie. I czy te słowa nie lepiej przystoją ustom naszym, aniżeli te, któreśmy tak często śpiewali, nie zdając sobie sprawy, że one są dla nas nie tylko upakarzające, ale wręcz hańbiące:

Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz —

Aż dziw, aż wstyd, że tego nie czujemy! W PIEŚNI LEGIONÓW nie ma ani jednego słowa, które by nam przynosiło wstyd, — całą, od początku do końca, mamy prawo śpiewać z podniesionym czołem, bo w tej pieśni jest złożona nie tylko nasza gorąca miłość, ale i nasza szlachetna duma narodowa, nasza mocna wiara we własne siły. Nigdy w świecie nie odzyskalibyśmy niepodległości, gdybyśmy po jej utracie nie wierzyli, że ją odzyskamy, to znaczy, gdybyśmy nie wierzyli w tę świętą prawdę, którą nam mówiła pierwsza strofa PIEŚNI LEGIONÓW.

I pod tym tylko warunkiem odzyskaną niepodległość zachowamy, że nie stracimy wiary w tę prawdę. Albowiem ten tylko naród ma przyszłość przed sobą, który wierzy przede wszystkim we własne siły, nie zaś w cudzą pomoc, nie w szczęśliwy zbieg okoliczności — i nawet nie w tryumf ideału, ani w pomoc Bożą; bo ideał tryumfuje na świecie tylko wtedy, kiedy człowiek sam na jego tryumf zapracuje, a Pan Bóg nie pomaga człowiekowi — bez jego własnej woli i pomocy. Jest to prawda wiekuiста — i tę właśnie wiekuiстą prawdę mówi nam PIEŚŃ LEGIONÓW — i dzięki tej wiekuistej prawdzie nie zestarzała się i nie zestarzeje nigdy; jest i będzie dla nas nie tylko świętą pamiątką historyczną, ale i żywą prawdą narodową.

NASZ HYMN WOBEC HYMNÓW INNYCH NARODÓW. Czy wiele narodów może się taką pieśnią poszczycić?

RULE BRITANNIA! — śpiewają Anglicy, — panuj Brytania! — „panuj na oceanie, bo Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami! Narody, mniej szczęśliwe od ciebie, jeden po drugim dźwigać będą jarzmo tyranów: ale ty kwitnąć będziesz wielka i wolna, i cała reszta świata zazdrościć ci i bać się ciebie będzie!“ Co za duma szalona bije z tego hymnu narodowego Anglików! Znakomity filozof niemiecki, zmarły podczas wielkiej wojny, Wilhelm

Wundt, napisał wkrótce po jej wybuchu niezmiernie ciekawą, chociaż nie sprawiającą bynajmniej zaszczytu jego pamięci książkę: NARODY I ICH FILOZOFIA (15); w ostatnim jej rozdziale, poświęconym „duchowi narodów podczas wojny i pokoju“, mówi słusznie, że, jeśli się w hymnach narodowych odzwierciedla dusza narodowa w swojej najgłębszej istocie, to najgłębszą istotą duszy angielskiej stanowi żądza potęgi i panowania nad całym światem.

W naszym hymnie narodowym nie ma tej żądzy ani żdźbła.

A o MARSYLIANCE co mówi Wundt? Widzi on w niej jeden tylko wiersz:

Le jour de gloire est arrivé —

„już nadszedł dzień sławy“ — i z tego wyprowadza wnioski, że zarówno dla Francuza, jako jednostki, jak dla całej Francji, jako narodu i kraju, największe dobro życia stanowi honor i sława. Trzeba być, na prawdę, zaślepionym, aby tak przekręcać prawdę. Kto ma oczy, komu ich, jak uczonym i filozofom niemieckim, nie odebrała psychoza wojenna 1914 roku, ten w Marsyliance zobaczy przede wszystkim

Amour sacré de la patrie —

„świętą miłość ojczyzny“ i płomienną miłość „ukochanej wolności“,

Liberté, liberté chérie,

a potem — święty zapał do walki z tyranami i najeźdźcami, którzy chcą ojczyznę pozbawić wolności, oraz mocną jak skała wiarę we własne siły: z tych dopiero uczuć płynie szlachetna żądza sławy — sławy ze spełnionego obowiązku „świętej miłości kochanej ojczyzny“.

Pod same niebiosy wynosi — oczywiście — Wunda pieśń narodową Niemców:

Fest steht und treu die Wacht, die Wacht
[am Rhein.

„Stałość i wierność — mówi Wundt — oto co Niemiec poczytuje za najwyższe zalety charakteru narodowego, czyli, jednym słowem o b o w i ą z e k; wierność obowiązkowi — oto co Niemiec przenosi z pracy podczas pokoju na trudy wojny, podczas której staje się ta wierność obowiązku najwyższym ze wszystkich obowiązków — obowiązkiem poświęcenia się za ojczyznę“.

(15) DIE NATIONEN UND IHRE PHILOSOPHIE. EIN KAPITEL ZUM WELTKRIEG, Lipsk, 1915. Doskonałą ocenę tej książki napisał Józef Ujejski w rozprawie pt. NARODY I ICH FILOZOFIA, ROK POLSKI, 1916.

Zapewne, z pieśni DIE WACHT AM RHEIN bije i miłość ojczyzny i poczucie obowiązku patriotycznego; tylko dlaczego Niemiec poczytuje za swój obowiązek patriotyczny straż nad Renem? Czy tylko jako obronę ojczyzny przed najazdem nieprzyjacielskim? Nie, ale nade wszystko jako oparcie do najazdu na cudze kraje. Jest przecie, oprócz pieśni wojennej „Die Wacht am Rhein“, która dopiero podczas wojny 1870 r. stała się niemieckim hymnem narodowym, inny jeszcze hymn, który śpiewa cały naród niemiecki:

Deutschland, Deutschland über alles,
Über alles in der Welt.

Te pierwsze słowa pieśni, to jeszcze nie szowinizm, to tylko miłość ojczyzny, która każdemu narodowi jest droższa ponad wszystko na świecie. Ale jak sobie Niemiec tę swoją ojczyznę wyobraża, jakie jej granice zakreśla?

Von der Maas bis an die Memel,
Von ter Etsch bis an den Belt!

„Od Mozy aż do Niemna“: więc okraść Francję i Belgię, a Polsce nie oddać tego, co się dawniej ukradło; „od Adygi aż do Bełtu“: więc zrabować Włochy, a Danii nie oddać tego, co się dawniej zrabowało! Oto „obowiązek“ niemiecki!

W naszym hymnie narodowym nic podobnego nie ma:

Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy,

ale ani piędzi ziemi więcej — oto p o l s k i o b o w i ą z e k. Krasiński powiedział prawdę:

Z Polski ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość, a nie rozbój sieje...
Gardzi grabieżą, nie garnie zdobyczy,
Spaja się z braćmi — a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnym świetle słońca.

Tak było w przeszłości, tak będzie i w przyszłości. Jak MARSYLIANKA, tak i PIEŚŃ LEGIONÓW jest pełna wiary we własne siły narodu i miłość ojczyzny, ale nie ma w sobie nic ani szowinizmu narodowego, ani ambicji panowania nad światem, ani żądzy rozboju. Toteż, jak Marsylianka była, jest i będzie dla Francji cudotwórczą pobudką do miłości i poświęcenia, zapału i męstwa, tak dla nas Pieśń Legionów, która

...do krwi pędziła rycerze
I w miecze kładła dusze nieśmiertelne,

pieśń, która przez długie lata niewoli stała na straży

Narodowego pamiątek kościoła
Z archanielskimi skrzydłami i głosem,

pieśń, która czasem dzierżyła „i miecz archanioła“,

— dzierży go i dzisiaj, i długo jeszcze zapewne
dzierżyć będzie; żarzące się w niej „iskry młodego
zapalu“ dotąd „tlą w głębi piersi“ polskiej i jeszcze

...nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.

ADAM GALEŃSKI

SZACHY DLA PRZYJEMNOŚCI

Sledząc rozwój zamiłowań w naszych skupieniach i ośrodkach, zauważyć można zwiększające się upodobanie dla szachów. Mnoży się liczba zorganizowanych zespołów, uprawiających „grę królewską“ w sposób systematyczny. Nie widuje się wprawdzie sprawozdań oficjalnych z naszych turniejów szachowych, nie cieszą się bowiem w prasie takimi względami, jakie wywalczył dla siebie sport, jednak z nieoficjalnych informacji należy wnioskować, że liczba tego rodzaju imprez przedstawia się pokaźnie. Rośnie również zainteresowanie dla ruchu szachowego na szerokim świecie.

Zjawisku temu należy niewątpliwie przykasnąć. Zwłaszcza w okresie jesienno-zimowym nadarza się sposobność do uczynienia z szachów ważnego czynnika wczasów i wypoczynku. Może nie uda się zapewnić im takiej doniosłości, jaką przypisał im Jan Kochanowski w swoim poemacie pt. „Szachy“ (przełożonym z poety włoskiego): jak wiadomo, w utworze tym rękę królewny zdobywa nie zwycięski yrceerz, ale triumfator w spotkaniu szachowym. Ale bo też ambicje współczesnych mistrzów szachownicy nie sięgają tak wysoko: wystarcza im satysfakcja, jaką daje gra dobrze rozegrana i wolna od niepotrzebnych zgrzytów towarzyskich.

Niewątpliwie można z szachów uzyskać wiele prawdziwego zadowolenia. Wiedzą o tym wszyscy, którzy tej gry zakosztowali. Zdarza się, że z tych czy innych względów muszą na pewien czas wycofać się z czynnego życia szachowego, ale prędzej czy później wracają do niego, aby zanurzyć się ponownie w jego rozkoszach. Wielką zaletę szachów stanowi ich niezależność od wieku czy stanu zdrowia. Może je uprawiać każdy. Poza tym „język“ ich jest na prawdę międzynarodowy. Gdzie zawodzą inne drogi łączności z otoczeniem, warto podjąć próbę zorganizowania

rozgrywek szachowych, — w sprzyjających okolicznościach daje ona niejednokrotnie nadszodowane wyniki.

Jak to dzieje się z każdym ruchem, przybierającym zakrój powszechny, „mania szachowa“ stać się może w życiu społecznym dobrodziejstwem — lub ciężarem. O wszystkim rozstrzyga właściwe podejście i dobra organizacja. Powinni zatroszczyć się o nią szachiści bardziej wyrobieni, których znajdziemy w każdym niemal ośrodku. Wiele zależy od ich życzliwej postawy wobec nowicjuszy, u których zapal w pierwszej fazie góruje zazwyczaj nad umiejętnościami. Do tych doświadczonych matadorów kierują się przede wszystkim nasze uwagi; ale droga do postępu stoi otworem przed każdym.

PRZESTRZEGANIE PRZEPISÓW

W grze o podkładzie współzawodnictwa raz po raz pojawiają się różne problemy sporne. Na boisku rozstrzyga je sędzia; gdyby go zabrakło np. podczas meczu piłki nożnej, spotkanie przestoczyłoby się prędko w beładną kopaninę. Licząc się z tym wszystkie związki sportowe starają się najpierw o dokładne przepisy, które znać musi każdy gracz, a następnie dbają jak najgorliwiej o podniesienie powagi sędziów i to tak dalece, że decyzje ich nie podlegają apelacji.

Szachy mają niewątpliwie postać uszlachetnionej wojny. Zrodziły się one z gry wojennej i zachowały wiele jej właściwości. Od graczy zależy, czy spotkanie ich przybierze formę szlachetnego turnieju, czy upodobni się do ulicznej utarczki, prowadzonej z towarzyszeniem zbyt głośnych rozmów czy nawet okrzyków. Ileż to niepotrzebnych przykrości wyniknęło stąd, że gracze zasiadali do szachów nie mając właściwe-

go wyobrażenia o ich regułach i lekceważąc sobie formy poprawnego zachowania!

Zacznijmy pracę zbiorową od gruntownego zapoznania się z przepisami i powiadomienia o nich współgraczy. Nie jest tych przepisów wiele i opanowanie ich nie sprawi nikomu trudności. Podzielić je można na dwie kategorie: pierwsza mówi o ruchach figur i przebiegu gry, druga dotyczy raczej strony towarzyskiej. Nie lekceważmy ani pierwszej kategorii, ani drugiej, gdyż obie wzajemnie się uzupełniają.

W rozgrywkach turniejowych na większą skalę szachista o stosunkowo rozleglejszym doświadczeniu spełnia pospolicie zadanie sędziego. Wprawdzie regulamin ustala zasady najważniejsze, ale niepodobna uniknąć kwestii spornych, które rozstrzygnąć może jedynie osoba neutralna. Zbyteczne jest dodawać, że skoro uczestnicy zdecydowali się obdarzyć kogoś swoim zaufaniem, muszą polegać całkowicie na jego rozstrzygnięciach. Nie ma nic bardziej gorszącego, jak dyskusje uczestników z sędziami turniejowymi.

Pamiętajmy jednak, że w normalnych warunkach ogromną większość gier rozgrywa się poza turniejami, że przy szachownicy znajdują się zazwyczaj tylko dwaj partnerzy bez świadków z zewnątrz. Od nich samych zależy spokojny przebieg spotkania i uniknięcie zbytecznych drażnień. Gwarancję daje tylko znajomość przepisów i stosowanie się do nich w sposób jak najbardziej bezwzględny. Jeden z przeciwników może wskutek tego chwilowo ucierpieć, ale w następnej grze sytuacja się odwróci, więc szanse obu stron są równe. Natomiast każdy kompromis prowadzi do żądania wzajemności, co w praktyce spotyka się z oporem, a stąd droga wiedzie do żalów i nieporozumień.

Dokładne przepisy gry znajdują czytelnicy w każdym wydawnictwie dla początkujących szachistów. Jeśli chodzi o kwestie bardziej sporne czy zawiłe, zostały one omówione na łamach „Poradnika“ w Nrze 98/99 (patrz artykuł Mariana Bilewicza „Szachy w świetlicy“, który podaje również tytuły niektórych godnych polecenia angielskich wydawnictw). Nie usiłujmy tworzyć zasad własnych i nie upierajmy się przy nawykach, które kłócą się z brzmieniem przepisów oficjalnych. Jeśli rodzi się niepewność, trzeba sięgnąć do stosownego wydawnictwa — albo zapytać eksperta. Jałowy spór nie sprawie nie pomoże.

JAK OSIĄGNĄĆ POSTĘPY

Tylko ten, kto zetknął się bliżej z wiedzą szachową, zdaje sobie sprawę z jej rozległości. Opanowanie takiego ogromu szczegółów przekracza oczywiście siły amatorów, grających w szachy przede wszystkim dla własnej przyjemności. Z drugiej strony ograniczanie się do własnych „wynalazków“ uniemożliwia osiągnięcie jakichś sukcesów w spotkaniach, a co ważniejsza, oddziela szachistów od łączności ze zdobywcami, jakie przynosi w zajmującej ich dziedzinie nasza epoka.

Rozwiązanie właściwe leży po środku. Nie każdy zdobędzie się na zgromadzenie specjalnej biblioteki szachowej, ale zajrzenie od czasu do czasu czy to do odpowiedniej książki (nie za trudnej), czy do działu szachowego w czasopiśmie na pewno zwiększy przyjemność i podniesie poziom rozgrywek. Wiadomo, że piłkarze muszą odbywać regularne treningi, oglądać filmy sportowe, słuchać instrukcji itp.; podobnie szachy, oparte na samej improwizacji i czystym dyletantyzmie, prowadzą do wyników połowicznych, toteż jakaś doza przygotowania teoretycznego wydaje się nieodzowna.

Aby nawiązać łączność z wiedzą szachową, należy przede wszystkim opanować sposoby zapisu. I tu znów odsyłamy zainteresowanych do wspomnianego artykułu. Znajdziemy w nim informacje o zapisie „kontynentalnym“ oraz tym, jaki stosuje wielu autorów angielskich. Zdarzyć się może, że zetkniemy się z publikacjami w innych językach; posługują się one identycznym sposobem zapisu, a jedyną różnicę stanowią inicjały, za pomocą których oznacza się bierki, — zapamiętania tak drobnych odmian jest oczywiście błahostką.

Jeśli chodzi o wybór lektury szachowej, można sięgnąć do najbliższej biblioteki publicznej. Jakiś skromny choćby podręcznik dobrze jest posiadać na własność: każda księgarnia zawiera tego rodzaju publikacje. Polskie piśmiennictwo szachowe na ogół nie było zbyt obfite; wydawnictwa przedwojenne zostały oczywiście całkowicie wyczerpane, jeśli zaś chodzi o książki nowe, nadchodzące z kraju nacisk propagandowy nie oszczędził nawet tej dziedziny, na pozór tak odległej od jakichkolwiek składników natury politycznej.

ZADANIA

Diagramy szachowe pojawiają się nie tylko w wydawnictwach periodycznych, ale i w prasie

codziennej. Tak np. wszystkie wieczorowe dzienniki londyńskie w pierwszych wydaniach zawierają działy szachowe. Nie dają jednak one materiału dla gry praktycznej. Przeważają zadania i końcówki, stanowiące dział odrębny, zależny od innego rodzaju oceny, niż zwyczajne partie.

Najpospolitszy typ zadań polega na daniu mata w określonej liczbie posunięć. Na początku lepiej poprzestawać na „dwuchodówkach“, przy czym warto zaznaczyć, że według ogólnie przyjętych wymagań kompozytorzy unikają pierwszego posunięcia szachującego, które jest uważane za groźbę zbyt brutalną. Można oczywiście pokusić się i o rozwiązanie innych zadań, ale towarzyszy im wiele komplikacji, które niełatwo opanować. Na polecenie zasługują „miniatury“ czyli takie zadania, w których liczba ogólna biererek nie przekracza siedmiu; uważa się je nie bez słuszności za stosunkowo bardziej dostępne.

Dlaczego zatrzymujemy się na zadaniach? Dla tego, że są bardziej dostępne w prasie. Poza tym przy nabyciu pewnej wprawy dostarczają one rozrywki bez rozkładania szachownicy, — wystarcza drukowany diagram. Wskutek tego pojawia się sposobność do kontaktu z szachami w czasie podróży, w drobnych chwilach wypoczynku podczas pracy lub gdy z tych czy innych względów nie mamy partnera.

Ci, którzy nie dają sobie rady bez szachownicy, mogą zaopatrzyć się w szachy kieszonkowe, wyrabiane w różnorodny sposób. Zazwyczaj jednak nie są one konieczne. Warto pokusić się o zdobycie pewnej wprawy w rozwiązywaniu zadań, gdyż jest to najpewniejsza droga do zapewnienia sobie stałej łączności z życiem szachowym. Poza wprawą pewną pomoc przynieść mogą zbiory zadań, których wychodzi corocznie wiele.

DYSCYPLINA TOWARZYSKA

Nade wszystko jednak trzeba rugować bezlitośnie wszystko, co przeistacza miłą rozrywkę w nieprzyjemną klótnię. Kluby szachowe starają się przeciwdziałać grożącemu niebezpieczeństwu towarzyskim w różnorodny sposób. Dla przykładu zacytujmy zalecenia, obowiązujące w Klubie Londyńskim, które zostały ujęte w formę „dziesięciu przykazań szachisty“:

1. Siadając do gry, pomyśl, że możesz się czegoś nowego nauczyć.

2. Graj dla gry, a nie dla wygranej.
3. Grając w zespole myśl o swoim klubie, a nie o sobie samym.
4. Najpierw się zastanów, a później zrób posunięcie.
5. Nigdy nie cofaj zrobionego posunięcia.
6. Nie trać spokoju, jeżeli przeciwnik długo myśli nad swym posunięciem.
7. Trzymaj ręce przy sobie, a nie nad szachownicą.
8. Nie usprawiedliwiał swęj przegranej własną pomyłką, a nie lepszą grą przeciwnika.
9. Zachowuj się przy grze cicho i nie przeszkadzaj w grze innym.
10. Służ dobrą radą tylko temu, kto cię o to prosi.

Nie wszystkie z tych zasad mają równą doniosłość. Piąta i siódma wiążą się ze znanym przepisem, który zakazuje nie tylko cofania posunięć, ale i dotykania biererek. Kiedy jakaś figura wymaga dokładniejszego ustawienia, wolno to uczynić jedynie po uprzednim ostrzeżeniu przeciwnika słowem: „Poprawiam“. O ile ktoś szachowe przestrzegać będzie tego przepisu od samego początku, zniknie przyczyna wielu dąsów i kwasów. Inne „przykazania“ mogą wydawać się bardzo oczywiste, nie zapominajmy jednak, że podyktowało je doświadczenie, a nie teoretyczne rozmyślanie.

Pewne jest jedno. Nic wprawdzie nie stoi na przeszkodzie osobom, które pragną rozkoszować się szachami w samotności, jednak z natury swojej stanowią one wydarzenie o podkładzie społecznym, wymagające współdziałania bezpośredniego przynajmniej dwóch osób. Każde nieporozumienie między parą graczy odbija się niekorzystnie na samopoczuciu innych członków koła czy zespołu. Im więcej grzeczności i samodyscypliny zdołamy wszczepić w dziedzinę szachową, tym wierniej zachowamy ducha gry, którą nie bez przyczyny określa się jako „królewską“.

WIECZORNICE

materiały i pomoce

JOSEPH CONRAD

J U T R O

Nowy przekład Wojciecha Gniatczyńskiego

Przedruk wzbroniony.

OSOBY :

KAPITAN HAGBERD, emerytowany kapitan statku.

JOSJASZ CARVIL, były budowniczy statków — wdowiec — ślepy.

HENIO HAGBERD, syn kapitana Hagberda — jako malec uciekł był z domu.

LATARNIK.

BESSIE CARVIL, córka Josjasza Carvila.

Miejsce, mały port morski.

Czas, współcześnie — wczesna jesień, pod wieczór.

Scena przedstawia: od lewej do prawej — dwa żółte domki murowane, należące do kapitana Hagberda; on zamieszkuje jeden, a Carvilowie drugi. Latarnia wpośrodku. Z daleka widać czerwone dachy miasteczka. Po lewej nadmorska grobla.

Uwaga. Sztukę podzielono na sceny w sensie czysto dramatycznym. Podział ten nie ma nic do czynienia z dekoracjami. Odnosi się tylko do rozmaitego ugrupowania postaci z wynikającymi stąd zmianami w myślowej i uczuciowej atmosferze sytuacji.

SCENA I.

Kurtyna się podnosi, widać CARVILA i BESSIE, którzy odchodzą od grobli. BESSIE ma około 25 lat. Czarna suknia, czarny kapelusz słomiany.

ny. Obfite włosy, luźno uczesane, koloru mahoniowego. Twarz blada. Figura pełna. Dziewczyna bardzo spokojna. CARVIL, ślepy, nieopawany. Rudawe, szpiczaste wąsiki. Wolny, giębokoki głos, dobowany bez wysiłku. Nieruchliwa, duża twarz.

CARVIL *uwieszony ciężko na ramieniu Bessie Ostrożnie! Pomału! Staże; Bessie cierpliwie czeka* Chcesz, żeby stare ojczyisko skrzyknęło kark? *Wlecz się dalej* Śpieszno do domu, do wiecznych gadek z przyjacielem-wariatem?

BESSIE Nie śpieszno mi do domu, ojcze.

CARVIL No więc powoli idź z biednym ślepcem. Ślepy! Bezradny! *Laską stukła w ziemię* Wszystko jedno! Miałem czas, by zarobić dosyć na jaja sadzone z szynką codziennie na śniadanie — dzięki Bogu! I ty, dziewczyno, też dziękuj za to Bogu! W ciągu wszystkich dni swego próżnego życia w ogóle nie zaznałaś trudu. Chyba że myślisz, iż ślepy, bezradny ojciec...

BESSIE Do czego miałabym się śpieszyć?

CARVIL Co mówisz?

BESSIE Powiadam, że nie mam się czego śpieszyć?

CARVIL Jednak masz. Gawędy z wariatem. Cokolwiek, byle tylko uciec od obowiązku.

BESSIE Rozmowy kapitana Hagberda nie skrzywdziły nigdy ojca, ani w ogóle nikogo.

CARVIL Dobrze. Wstawiaj się za swym jedynym przyjacielem.

BESSIE Czy to moja wina, że nie mam nikogo innego do rozmowy?

CARVIL *złośliwie* Może moja! Czyż potrafię przestać być ślepym? Zżymasz się, bo chcesz latać, podczas gdy bezradny człek siedzi w domu sam. Twój ojciec przy tym.

BESSIE Odkąd mama umarła, nie zostawiłam ojca samego ani na pół dnia.

CARVIL *wściekle* On jest wariatem, ten nasz gospodarz. Wariatem, powiadam. Już od dawna — był nim na długo przedtem, zanim ci przekłęci lekarze zniszczyli mój wzrok. *Stęka ze złością, potem wzdycha*

BESSIE Może kapitan Hagberd nie jest tak szalony, jak w mieście sądzą.

CARVIL *Ponuro* Czyż nie wiedzą wszyscy, jak przybył z północy, żeby czekać, aż powróci jego zgubiony syn — tutaj — akurat właśnie tutaj. Chłopak, który uciekł na morze szesnaście lat temu i odtąd nie dał znaku życia! Czy nie pamiętam, jak ludzie uciekali mu z drogi za róg, jeśli tylko widzieli, że idzie ulicę Wielką. Widzieli tylko, powiadam ci. *Jęczy* Wszystkich napadał ze swą gadaniną, że syn na pewno wróci do domu — w przyszłym roku — w przyszłym miesiącu — przyszłej wiosny... Kiedy teraz ma wrócić, hę?

BESSIE Po cóż mówić o tym? Nikogo już nie napastuje.

CARVIL Nie. Nauczyli się uciekać. Wystarczy tylko zrobić uwagę na temat tego jego płaszcza z płótna żaglowego, żeby się zamknął. Całe miasto wie. Ale teraz ma ciebie i opowiada ci wariackie opowiadki, kiedy zechce. Albo to nie słyszę was dwoje, ble, ble — ble, ble...

BESSIE Cóż tak szalonego jest w żywieniu nadziei?

CARVIL *z zabójczą naganą* Nie szalonego! Zagładzać się, żeby odłożyć pieniądze — dla syna. Zapelniać dom meblami, których nikomu nie pozwoli zobaczyć — dla syna. Co tydzień dawać ogłoszenia w gazetach, przez szesnaście lat — dla syna. Nie szalony! „Chłopcem“ go nazywa. „Chłopiec Henio“. Jego chłopiec Henio. Jego zaginiony chłopiec Henio. Bah! Niech straci wzrok, to zobaczy, co znaczy prawdziwe zmartwienie. A chłopiec — powinienem powiedzieć: mężczyzna — od wielu lat na pewno przebywa bezpiecznie w zamknięciu jak Jonasz — utopił się — żarcie dla ryb — martwy... Rozumie się, bo inaczej byłby tu od dawna, węsząc dokoła za pieniędzmi starego głupca. *Potrząsa lekko ramię Bessie* Hę?

BESSIE Nie wiem.. Może.

CARVIL *Wybuchając* Niech mnie szlag, jeśli nie myślę, że w ogóle nigdy nie miał syna.

BESSIE Biedak. Może nigdy nie miał.

CARVIL Czy to dla ciebie nie dość zwariowane? Ale tobie wydaje się to pewnie rozsądne.

BESSIE Cóż za różnica? Gadanie podtrzymuje go na duchu.

CARVIL Taak! A tobie sprawia przyjemność. Cokolwiek, żeby tylko uciec od ślepego ojczyńska... Ble, ble — ble, ble, aż wreszcie wydaje mi się, że chyba jesteś taka zwariowana jak on. O czymże wy dwoje możecie tyle gadać? Co chcesz zrobić?

W międzyczasie CARVIL i BESSIE przeszli wolno na scenę, od lewej ku prawej stronie, powoli i z przystankami.

BESSIE Gorąco. Usiądzie ojciec na chwilę?

CARVIL *Wściekle* Tak, usiądę. *Nalegająco* Co chcesz zrobić? Na co lecisz? *Przechodzą przez furtkę ogrodu* Bo jeśli lecisz na jego pieniądze...

BESSIE Jak ojciec może!

CARVIL *Nie zwracając na nią uwagi* ... żeby się uniezależnić od ślepego ojczyńska, to jesteś głupia. *Siada ciężko* Za wielki skąpiec, żeby kiedykolwiek zrobić testament — nawet, gdyby nie był wariatem.

BESSIE Och! Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Przysięgam.

CARVIL Nigdy? Hej! Jesteś tedy jeszcze głupsza... Chce mi się spać! *Zdejmuje kapelusz, upuszcza go na ziemię i opiera głowę o ścianę.*

BESSIE A dla ojca jestem dobrą córką. Nie powie mi ojciec tego?

CARVIL *bardzo wyraźnie* Chce — mi — się — spać. Jestem zmęczony. *Zamyka oczy*

W czasie trwania tej sceny widać było KAPITANA HAGBERDA, wahającego się z tyłu sceny, potem biegnącego prędko do drzwi swego domku. Wewnątrz zostawia cynowy kociołek — wyjęty spod płaszcza — i schodzi do sztachet, oddzielających obydwą ogrody, ukradkiem.

SCENA II.

CARVIL *siedzi*. BESSIE. KAPITAN HAGBERD, *biata broda, kurtka z płótna żaglowego.*

BESSIE *robiąc na drutach* Po południu nie było pana przez długi czas, prawda?

KPT. H. *Ochoczy* Prawda, moja droga. *Przebiegle* Oczywiście widziałas, jak wracałem.

BESSIE Tak. Widziałam pana. Pod płaszczem coś pan miał.

KPT. H. *niespokojnie* Nic, moja droga. Tylko kociołek. Cynowy kociołek na wodę. Cieszę się, że właśnie w porę o tym pomyślałem. *Mru-ga, potakuje* Gdy mąż wraca z pracy, potrzebuje mnóstwo wody do mycia. Rozumiesz? *Z godnością* Nie żeby Henio kiedy potrzebował palcem kiwnąć, gdy wróci do domu... *Zająkuje się* — *ukradkiem rzuca spojrzenia na wszystkie strony*... jutro.

BESSIE *Podnosi wzrok, poważna* Czy pomyślał pan kiedy, panie kapitanie, że może syn pański nie...

KPT. H. *Ojcowsko* Myślałem o wszystkim, moja droga — o wszystkim, co tylko rozsądna młoda para może na swym gospodarstwie potrzebować. Wszak mój dom jest tak pełny, że nie mogę się w nim obrócić. *Zaciera ręce z zadowoleniem* Dla mego syna Henia — gdy wróci do domu. Jeszcze jeden dzień.

BESSIE *Podchlebiająco* Och, gdy trzeba coś tanio kupić, pan jest świetny. *kpt. H. rozanielony* Lecz, panie kapitanie — jeżeli — jeśli — nie wiadomo, co się może stać — jeśli ten cały dom, który pan skompletował, miałby zostać zmarnowany — na nic — pomimo wszystko. *Na stronie* Och, nie mogę tego wydusić.

KPT. H. *przejęty; podrzuca do góry ramiona, tupie; jąka się* Co? Co chcesz przez to powiedzieć? Cóż może przytrafić się rzeczom?

BESSIE *Łagodząco* Nic! Nic! Kurz — albo mole — wie pan. Może wilgoć. Do domu nigdy pan nie wpuszcza nikogo...

KPT. H. Kurz! Wilgoć! *Śmieje się bulgocząco, gardłowo* Co dzień sam rozpalam w kominku i odkurzam rzeczy. *Oburzony* Wpuścić kogoś do środka, dobre sobie! Co by Henio powiedział! *Chodzi tam i z powrotem po ogrodzie, pośpiesznie, z podrzucaniem, skrętami całego ciała*

BESSIE *Autorytatywnie* Proszę być grzecznym, panie kapitanie! Pan wie, że nie zważam na jego humory. *Grozi mu palcem*

KPT. H. *Podporządkowany, ale jeszcze gniewny, odwrócony do niej plecami* O to ci chodzi, chcesz zobaczyć rzeczy. Ale nie. Nawet ty nie. Aż dopiero Henio zobaczy je pierwszy.

BESSIE Och, nie! Nie chcę ich widzieć. *Łagodniejąc* Dopóki pan nie zechce. *Uśmiecha się do*

kapitana H., który na pół już się obrócił Nie wolno panu podniecać się. *Robi na drutach*

KPT. H. *Łaskawie* A ty jesteś jedyną rozsądną dziewczyną na całe mile dokoła. Nie możesz mi zaufać? Jestem domatorem. Zawsze byłem, moja droga. Nienawidziłem morza. Ludzie nie wiedzą, na co wydają swych chłopców, gdy ich posyłają na morze. Równie dobrze zrobić z nich skazańców. Co to za życie? Większość czasu nie wiadomo, co się dzieje w domu. *Znacząco* Na całej ziemi nie ma nic równie dobrego jak dom, moja droga. *Przerwa* Z do-brym mężem...

CARVIL *Stychać go urywkami* Oni swoje... ble, ble — ble, ble. *Z jęklwym wysiłkiem* Bezradny! *BESSIE oglądnięta się i przez chwilę patrzy na niego*

KPT. H. *Mruczy* Rozrzutny człowiek. Sądzone jaja z szynką. *Głośniejsze* Co innego, oczywiście, gdyby miał syna, dla którego mógłby urządzić dom. Z dziewczynami inna sprawa, moja droga. Nie uciekają z domu, moja droga, moja droga. *Podniecony*

BESSIE *Zmęczonym ruchem opuszczając ramiona* Nie, nie uciekają, panie kapitanie.

KPT. H. *Powoli* Nie pozwoliłbym memu ciału i krwi uciec na morze. JA bym nie pozwolił.

BESSIE A chłopak ucieki.

KPT. H. *Trochę pusto* Tak, mój jedynak Henio. *Jakby budząc się* Wraca jutro.

BESSIE *Patrzy na niego z politowaniem; mówi miękko* Nadzieja, panie kapitanie, czasami nie sprawdza się.

KPT. H. *Nieswojo, z zakłopotaniem* Cóż to ma wspólnego z powrotem Henia?

BESSIE Dobrze jest żywić nadzieję... Lecz przypuśćmy... *Próbując drogi* Pański syn nie jest jedynym z tych, którzy nigdy...

KPT. H. Co nigdy? Nie sądzisz, że utonął? *Pochyla się, wzrok utkwiony w jeden punkt i błyszczący; chwytając kureczowo sztachety płotu*

BESSIE *Przestraszona, upuszcza robótkę* Panie kapitanie, proszę...! *Chwytając go za barki, pochylonego nad płotem* Proszę — Boże! odchodzi od zmysłów! *Płacze* Nie chciałam...! Nie wiem.

KPT. H. *Odwrócił się; wymuszony wybuch śmiechu* Nonsens! Żaden z nas, Hagberdów, nie należał do morza. Wszystko rolnicy od setek lat. *Ojcowski i chytry* Nie bój się, moja droga! Nas morze nie dostanie. Spójrz na mnie! Ja nie utonąłem. Co więcej, Henio w ogóle

nie jest żadnym marynarzem. A jeśli nie jest marynarzem, to musi powrócić — jutro.

BESSIE *Jest obrócona twarzą do niego; mruczy* Nie. Poddaję się. On mnie przeraża. *Głośno, ostro* Wobec tego przestałabym zamieszczać ogłoszenia w gazetach.

KPT. H. *Zaskoczony; nie rozumie* Moja droga! Dlaczego? Wszyscy to robią. Jego biedna matka i ja dawaliśmy ogłoszenia przez całe lata. Ale ona była niecierpliwą kobietą. Umarła.

BESSIE Jeśli pański syn wróci, jak — jak pan powiada — to na co te koszty? Lepiej wydałby pan na siebie te pół korony. Zdaje się, że pan za mało je.

KPT. H. *Pomieszany* Ależ tak wypada. Spójrz do niedzielnych gazet. U góry strony rubryka zaginionych krewnych — jak się należy. *Wygląda nieszczęśliwie*

BESSIE *Kwaśno* Więc dobrze! Oświadczam, że nie wiem, czym pan żyje.

KPT. H. Moja droga, zaczynasz się niecierpliwie? Nie bądź niecierpliwa — jak moja biedna żona. Gdyby tylko była cierpliwa, mielibyśmy ją tutaj. Czekając — jeszcze tylko jeden dzień. *Proszę* Moja droga, nie bądź niecierpliwa.

BESSIE Czasami tracę z panem cierpliwość.

KPT. H. *Przeblýsk świadomości* Dlaczego? Z jakiej przyczyny? *Współczująco* Jesteś przemęczona, moja droga, ot, czego ci brak.

BESSIE Tak. Dzień za dniem. *Stoi obojętna, ramiona zwieszają się*

KPT. H. *Nieśmiało* Nudno w domu?

BESSIE *Apatyczna* Tak.

KPT. H. *Jak poprzednio* Hm. Pranie, gotowanie, szorowanie. Hę?

BESSIE *Jak poprzednio* Tak.

KPT. H. *Ukradkiem wskazując palcem na śpiącego Carvila* Ciężki?

BESSIE *Martwym głosem* Niczym kamień młyński.

Cisza

KPT. H. *Wybuch irytacji* Dlaczego ten rozrzutny człowiek nie przyjmie służby tobie do pomocy?

BESSIE Nie wiem.

KPT. H. *Pocieszająco* Gdy Henio wróci, to zobaczysz. Przyjmie dla ciebie służącą.

BESSIE *Prawie histerycznie; śmieje się* Jakże! Panie kapitanie! Pański syn może ani nie zechce spojrzeć na mnie — gdy wróci.

KPT. H. *Wielkim głosem* Co! *Zupełnie spokojnie* Chłopak by nie śmiał. *Unosi się w gniewie* Nie ośmieliłby się odrzucić jedynej rozsądnej dziewczyny na wiele mil dookoła. Ten huncwot uparty miałby odrzucić dziewczynę jak ty! *Chodzi wściekły* Zaufaj mi, moja droga, moja droga, moja droga. Zmuszę go. Ja jego — jego... *wyrzuca z siebie wydziedziczą!* Ja go zostawię z szylingiem w kieszeni!

BESSIE Cicho! *Surowo* Nie wolno tak mówić. Co to znaczy? Znowu pańskie humory?

KPT. H. *Całkiem pokorny* Nie, nie — to nie humory — kiedy w głowie czuję coś nie całkiem w porządku. Tylko nie mogę znieść... Tak cię polubiłem, jak gdybyś już była żoną Henia. I ktoś ma mnie mówić... *Nie może się opanować, wykrzykuje* Huncwot!

BESSIE Sza...! Niech się pan nie przejmuj! *Zmęczona* To też się chyba nie uda. *Głośno* Nie to miałam na myśli, panie kapitanie.

KPT. H. Tak, jak bym jutro miał posiadać dwoje dzieci. Mego syna Henia i jedyną rozsądną dziewczynę... Jakże, moja droga! Bez ciebie nie dałbym sobie rady. My dwoje razem jesteśmy rozsądni. Reszta ludzi w mieście poszalała. Jak się gapią na człowieka! A te ich uśmiechy — wszyscy ciągle uśmiechają się. Przez to nie lubię wychodzić. *Zaniepokojony* Wydaje się, że coś jest nie w porządku — gdzieś. Moja droga, czy jest coś nie w porządku? — ty, tak rozsądna...

BESSIE *Łagodząco czuła* Nie, nie, panie kapitanie. Jest pan zupełnie w porządku.

CARVIL *Kładąc się na wznak* Bessie! *Siada* Daj mi kapelusz, Bessie... Bessie, kapelusz... Bessie... *Na pierwszy dźwięk Bessie podnosi i odkłada robótkę. Podchodzi do ojca, podnosi kapelusz, wsadza mu go na głowę* Bessie, ka... *Kapelusz jest na głowie. Wołanie ustaje*

BESSIE *Spokojnie, cicho* Wejdzcie ojciec teraz do domu?

CARVIL Pomóż mi wstać. Pomału. W głowie mi kołuje. To przez tę burzę, co wisi w powietrzu. Burza w jesieni oznacza paskudny sztorm. Bardzo gwałtowny — i nagły. Na skałach naszych porozbijają się statki tej nocy.

*Bessie i Carvil znikają w drzwiach swego domku.
Zapadł mrok*

KPT. H. *Podnosi szpadel* Rozrzutny człowiek! A całe miasto szalone — całkiem szalone. Prze-

konalem się już wiele lat temu. Dzięki Bogu, nie chodzą tędy gapiąc się i uśmiechając. Nie znoszę ich. Już nigdy nie pójdę na ulicę Wielką. *Podniecony* Nigdy, nigdy, nigdy. Od jutra nie będę potrzebował. Nigdy! *Rzuca szpadel na ziemię w pasji*

Podczas gdy Hagberd mówi, w oknie z firanką u Carvilów zapala się światło i widać Bessie, sadzającą ojca w wielkim fotelu. Zaciąga store. Wchodzi Latarnik. Kapitan H. podnosi szpadel i wspiera się na nim do przodu, oburącz; nieruchomy, obserwuje zapalanie lampy

LATARNIK *Żartobliwie* Hej tam! Jak się panu zechce, będziesz pan mógł kopać sobie przy świetle latarni.

Latarnik odchodzi do tyłu

KPT. H. *Z niesmakiem* Och! Ci ludzie tutaj...
GŁOS LATARNIKA *Słyszany głośno spoza domków* Tak, tędy.

Od tyłu wchodzi Henio

SCENA III.

KAPITAN HAGBERD. HENIO. *Później*
BESSIE

HENIO HAGBERD *trzydzieści jeden lat, wysoki, szeroki w barach, wygolony, mały wąsik. Niebieskie, grube, wełniane ubranie. Marynarka odpięta. Szara, flanelowa koszula, bez kołnierzyka i krawata. Nie ma kamizelki. Pas ze sprzączką. Czarny, miękki kapelusz pilśniowy z szerokim rondem, wgnieciony u góry i po bokach. Dobroduszny, beztroski, trochę fanfaronady w zachowaniu. Pewny, zdecydowany, ciężki krok, lekko kołyszący. Schodzi w dół. Staje, ręce w kieszeniach. Rozgląda się. Mówi* To na pewno tutaj. Nic nie widać. Ktoś tam jest. *Podchodzi do furtki kapitana Hagberda* Hejże! To pan musi być kapitanem Hagberdem.

KPT. H. *W ogródku, obydwie ręce na szpadlu, przygląda się, spłoszony* Tak, to ja.

HENIO *Wolno* Podobno przez ogłoszenia poszukiwał pan syna.

KPT. H. *Niebaczny, zdenerwowany* Tak. Mego chłopca Henia. Wraca do domu jutro. *Mruczy.* Na stałe.

HENIO *Zaskoczony* Ki diabeł! *Zmienia ton* Słowo daję! Brodę zapuścił pan, jak święty Mikołaj!

KPT. H. *Z naciskiem* Idź pan sobie! *Powiewa dłonią* Co to pana obchodzi? Idź pan sobie. *Podniecony* Idź pan sobie.

HENIO No, no, spokojnie. Nie naruszam pana własności. Tutaj wolno mi stać, prawda? Coś panu powiem. Zdaje mi się, że pańskie nerwy są nie w porządku. A jak pan by mnie tak wpuścił do środka? — byśmy sobie spokojnie pogadali, wie pan.

KPT. H. *Przerażony.* Pana wpuścić — pana!

HENIO *Przekonywająco.* Bo mam prawdziwe wiadomości o pana synu. Naj-świeższe wiadomości. Jeśli pan je chce usłyszeć.

KPT. H. *Wybucha.* Nie! Nie chcę słyszeć. *Zaczyna chodzić tam i z powrotem, ze szpadlem na ramieniu drugą ręką gestykuluje.* Oto człek — uśmiechnięty bubek z miasta, który powiada, że coś jest nie w porządku. *Wściekle.* Mam więcej wiadomości, niż panu się śniło. Mam wszystkie wiadomości, jakich mi potrzeba. Mam je od lat — od lat — od lat — dosyć, by mi wystarczyły do jutra! Wpuścić pana do środka! Rzeczywiście! Co by Henio powiedział?

Bessie Carvil wychodzi z drzwi domku w białym szalu na głowie, staje w swoim ogródku i próbuje dostrzec, co się dzieje.

BESSIE Co się dzieje?

KPT. H. *Do siebie.* Bubek od wiadomości. *Potyka się.*

HENIO *Wyciąga ramię, żeby go podtrzymać; poważnie.* Hola! Pomalutku! Wygląda na to, że ktoś próbował nabrać pana. *Zmienia ton.* Hejże! Cóż to za ozagłowanie?... *Marynarka z płótna sztormowego, jak pragnę...!* *Głośny, gardłowy śmiech.* Z pana jest facet!

KPT. H. *Zakłopotany aluzją, patrzy na marynarkę.* To — to — to tylko na razie. Do — do — jutra. *Ucieka, ze szpadlem w dłoni, do swego domu.*

BESSIE *Zbliżając się.* Czego pan sobie życzy?

HENIO *Zaraz odwraca się do niej; swobodny w obejściu.* Chciałbym wiedzieć, jak to chca go oszukać. Wcale nie zamierzałem starego przestraszyć. Widzi pani, idąc tutaj po drodze wstąpiłem do fryzjera, żeby za dwa penv się ogolić, i tam powiedzieli mi, że to niezwykły facet. Całe życie taki był.

BESSIE *Dziwiąc się.* Kogo chca oszukać?

KPT. H. *Uśmiechnięty bubek!* *Nagle wbiega do domu ze szpadlem. Zatraskuje drzwi. Sły-*

chać spadający zatrząsk. Od wewnątrz wymuszony, bulgoczący śmiech.

SCENA IV

BESSIE i HENIO. Później KAPITAN HAGBERD, z okna

HENIO *Po chwile muczenia.* A jego cóż tak zdenerwowało? Co znaczy to ciałkanie się? On chyba nie zawsze jest taki?

BESSIE Nie wiem, kim pan jest; mogę jednak panu powiedzieć, że od lat gryzie się myślą o jedynaku, który uciekł z domu — dawno temu. Wszyscy tutaj wiedzą.

HENIO *W zamyśleniu.* Martwi się — od lat. Nagle. Otóż ja jestem tym synem.

BESSIE *Cofa się o krok.* Pan!... Henio!

HENIO *Rozbawiony, suchym tonem.* Zapamiętała sobie pani imię, he? Zaprzyjaźniła się pani ze starym?

BESSIE *Zakłopotana, prawie zrozpaczona.* Tak... ja... czasami... Szybko. Jest naszym gospodarzem.

HENIO *Drwiąco.* Obie te klatki królicze jego, tak? Dla niego, jak wymarzone żeby mieć się czym szczyć... *Poważnie.* A teraz niech mi lepiej pani powie, co to za facet przyjeżdża jutro. Wiadomo co o nim? Zdaje się, że w tej hecy udział bierze więcej ludzi niż jeden. Jazda! Gadać! *Złośliwie.* Nie chcę żadnych... od kobiet.

BESSIE *Niezdecydowana, pomieszana.* Och! To tak trudno... Co mam zrobić?

HENIO *Dobrze usposobiony.* Wypowiadać się ze wszystkiego.

BESSIE *Chaotycznie, do siebie.* Niemożliwe! *Zaczyna.* Nie rozumie pan. Muszę pomyśleć — zobaczyć — spróbować, żeby — ja — ja — muszę mieć trochę czasu. Dużo czasu!

HENIO Na co? Niech pani powie. Dwa słowa. A o siebie niech pani się nie boi. Nie polecę na policję. Ale tamten drugi facet zostanie zaskoczony w najmniej spodziewanym momencie. Będzie kupa śmiechu, gdy jutro pokaże tu swoje ryło. *Strzela palcami.* Nie dbam o dolary starego, ale co słuszne, to słuszne. Zobaczy pani, że kimkolwiek ten cwaniak jest, zrobię z niego gulasz.

BESSIE *Lekko załamuje dłonie.* Co mam zrobić? *Nagle do Henia.* Właśnie na pana — na pana samego my — on czeka. To pan jutro ma przyjechać.

HENIO *Powoli.* Jaa! *Zatroskany.* Czegoś tu nie rozumiem. Nie pisałem do niego dotąd

ani nic. To mój kompan pokazał mi ogłoszenie z adresem starego, uokładnie dzisiaj rano w Londynie.

BESSIE *Niespokojnie.* Jakby to panu wytłumaczyć, żeby ni... *Zagryza usta, zakłopotana.* On czasem tak dziwnie mówi.

HENIO *Wyczekująco.* Tak? O czym?

BESSIE Tytko o panu. I nie cierpi sprzeciwu.

HENIO Uparty. He? Stary nie bardzo się zmienił od tego, jakim ja go pamiętam. *Stoją patrząc na siebie bezradnie.*

BESSIE Zdecydował się, że pan wraca.. jutro.

HENIO Nie mogę pętać się tu do jutra. Nie mam forsy na nocleg. Ani centa. Ale dlaczego *dzisiaj* nie wystarczy?

BESSIE Bo nie było pana tyle czasu.

HENIO *Z siłą.* Proszę pani, właściwie, to mnie wyrzucili. Matczyńsko burczało, że leniuchuję, a stary mawiał, że raczej by ze mnie duszę wytrząsał niż puścił na morze.

BESSIE *Mruczy.* Nie znosi sprzeciwu.

HENIO *Ciągnąc dalej.* Cóż, wyglądało na to, że tak by właśnie zrobił. Więc pojechałem. *Markotny.* Czasami wydaje mi się, że im się urodziłem przez pomyłkę... w tamtym innym domu-klatce na króliki.

BESSIE *Trochę kpiąco.* A jak się pan wydaje, gdzie się pan powinien był urodzić?

HENIO Pod gołym niebem — na piaszczystym wybrzeżu — w wietrzną noc.

BESSIE Ach!

HENIO To były typki, ta para, jak pragnę...! Mam spróbować drzwi?

BESSIE Proszę poczekać! Muszę wytłumaczyć panu, dlaczego właśnie jutro.

HENIO Tak! Musi pani, bo...

Otwiera się okno w domku kapitana Hagberda

GŁOS KAPITANA H. Uśmiechnięty — bubek — od wiadomości — przychodzi martwić mnie w moim własnym ogródku. Co jeszcze?

Okno zamyka się

BESSIE Tak. Muszę. *Kładzie dłoń na rękawie Henia.* Odejdźmy trochę. Po nocy nikt tędy nie chodzi.

HENIO *Beztrroski uśmiech.* Tak! Taka droga nadaje się do spaceru z dziewczyną.

Odwracają się tyłem do widowni i wolno idą w głąb sceny. Bliśko siebie. Henio pochyla głowę nad Bessie.

GŁOS BESSIE *Zuczyna poważnie.* Ludzie tutaj jakoś nie odnieśli się do niego życzliwie.

GŁOS HENIA Tak. Tak. To rozumiem.

Idą wolno z powrotem na front

BESSIE Był gotów zagłodzić się prawie na śmierć dla pana.

HENIO I ja dla jego zachcianki nie raz musiałem głodować.

BESSIE Boję się, że pan ma twarde serce. *Pozostaje zamysłona.*

HENIO Dlaczego? Bo uciekłem? *Zagniewany.* Jakże! przecież on chciał zrobić ze mnie parzywego urzędasza kancelaryjnego.

Odtąd scena odbywa się głównie blisko i około lampy.

BESSIE *Unosząc się.* Czym pan jest? Marynarzem?

HENIO Czymkolwiek pani chce. *Dumnie.* Marynarzem, wartym soli, którą zje na jakimkolwiek statku wszystkich mórz.

BESSIE Nigdy, nigdy w to nie uwierzy. Nie wolno sprzeciwiać się jemu.

HENIO Zawsze lubiał, żeby się działo podług jego woli. A pani go zachęcała do tego.

BESSIE *Poważnie.* Nie! — nie zawsze — naprawdę!

HENIO *Zakłopotany śmiech.* Co z tym ślicznym pomysłem o jutrze? Mam w Londynie głodnego kolegę — czeka na mnie.

BESSIE *Broniąc się.* Dlaczegoż miałabym biednego starca, pozbawionego przyjaciół, unieszczęśliwiać? Myślałam, że pan jest daleko. Myślałam, że pan nie żyje. Nie wiedziałam, czy w ogóle pan się urodził. Ja... Ja... *Henio odwraca się do niej.* Ona — *rozpaczliwie.* I dla mnie łatwiej było tak wierzyć. *Poniesiona myślą.* I, mimo wszystko, okazało się prawdą. Przyszło, by przeminąć. To jest owo jutro, na które czekaliśmy.

HENIO *Na pół mechanicznie.* Tak. To widać, że pani serce jest równie miękkie jak głos.

BESSIE *Jak gdyby niezdołna powstrzymać słowa.* Nie przypuszczałam, że pan zwróci uwagę na mój głos.

HENIO *Już nieuważny.* Hm! A bodaj to! Moim zdaniem — dziwne to jutro bez żadnego dzisiaj. *Zdecydowanie.* Muszę spróbować drzwi.

BESSIE Więc niech pan spróbuje.

HENIO *Od furtki, patrząc przez ramię na Bessie.* Nie wyleci na mnie chyba, co? Bałbym się go dotknąć. Chłopcy zawsze mówią, że nie znam swojej własnej siły.

BESSIE *Na przodzie.* Jest najłagodniejszą istotą, jaką kiedykolwiek...

HENIO Nie mówiłaby pani tego, gdyby pani wiedziała, jak mnie prał skórzanym pasem. *Przechodząc ogródkiem.* Przez szesnaście długich lat nie zapomniałem. *Puka dwa razy.* Halo, tato! *Bessie, bardzo naprężona.* Henio puka. Halo, tato, otwórz! Jestem twoim własnym Heniem. Naprawdę. Twój syn Henio wrócił do domu — o jeden dzień za wcześniej.

Okno na górze otwiera się.

KPT. H. *Widąc go wychylającego się, celującego szpadlem.* Aha!

BESSIE *Ostrzegawczo.* Uwaga! Szpadel spada. Czy się co panu stało?

Okno zamyka się

HENIO *Z pewnej odległości.* Tylko musnęło kapelusz.

BESSIE Dzięki Bogu! *Napiętym głosem.* Co pan teraz zrobi?

HENIO *Przychodzi na przód, zatrzasnąwszy za sobą furtkę.* Jak zawsze. Prawie mnie zatłukł za chęć wyjazdu; jak teraz wróciłem, wali mi na głowę jakąś cholerną łopatę. *Trochę się złości, a potem śmieje.* Ja bym tam nie dbał, ale Rudy — Rudy to mój kompan w Londynie — będzie głodował, zanim stąd do niego dojdę. *Zwraca się do Bessie otwarcie.* Ostatnie dwa peny wydałem na golenie... Z szacunku dla starego.

BESSIE Myślę, że — jeżeli pan pozwoli — to może w ciągu tygodnia uda mi się przekonać go.

Od jakiejś chwili słychać przytłumione, okresowo wybuchające wrzaski

HENIO *Zaalarmowany.* Co to? Kto tak wrzeszczy? Niech pani słucha! Zdaje się, że to w pani domu.

BESSIE *Bez ruchu, posepnie.* To na mnie.

HENIO *Dyskretnie, szepejąc.* Dobry głos na pokładzie w porywisty wiatr. Mąż? *Wychodzi z zasięgu światła lampy*

BESSIE Nie. Ojciec. Niewidomy. *Przerwa.* Jestem niezamężna.

Wrzaski są coraz głośniejsze

HENIO Cóż to? Co się dzieje? Kto go morduje?

BESSIE *Spokojnie* Przypuszczam, że skończył kolację.

Regularne wrzaski trwają

HENIO Czy nie byłoby lepiej, gdyby pani do niego zajrzała? Za chwilę zleci się tu całe miasto. *Bessie chce odejść* Zaraz! *Bessie zatrzymuje się* Może z tej kolacji mogłaby pani przynieść mi trochę chleba z masłem? Jestem głodny. Bez śniadania.

BESSIE *Rusza na słowo „głodny“, upuszczając na ziemię biały, wetniany szal* Jedną minutę. Niech pan nie odchodzi.

HENIO *Sam. Bezwiednie podnosi szal; ten zwisa mu na rękę; H. patrzy na niego. Mówi powoli* Przekłete — durne — skąpiradło. *Przerwa. Przerzuca sobie szal przez ramię. Chodzi tam tam i z powrotem. Mruczy* Nie ma pieniędzy na powrót. *Głośno* Głupi Rudy pomyśli, że wzięłem forszę, a starego kamrata okantowałem. Jedno dobre uderzenie — *Robi ruch, jakby chciał wywalić drzwi barkiem* — wywaliliby drzwi — założę się. *Rozgląda się* Ciekawym, gdzie jest najbliższy policjant? Nie. Chcieliby potem w kajdanki i do kryminału. *Otrząsa się* Może. Czuję się pod psem, gdy tylko pomyślę, że mogą mnie zamknąć. Nie mam odwagi. Nie na więzienie. *Opiera się o latarnię* I ani centa na powrót. Ale ciekawym, czy ta dziewczyna by...

BESSIE *Pospiesznie przychodzi na przód, z talerzem chleba i mięsa w rękę* W pośpiechu nie przyniosłam niczego innego.

HENIO *Zaczyna jeść* Nie urządzi pani uczyły zebrałowi. Mój tata jest bogaczem — pani wie.

BESSIE *Talcrz w rękę* Podobny pan do ojca.

HENIO Z twarzy byłem jego wiernym odbiciem od szczeniaka — *Je* ale to też wszystko. On był zawsze domatorem. Wyglądał chory na samą wiadomość o dwutygodniowym wyjeździe na morze. *Śmieje się* Przepadał za domem i ogniskiem domowym.

BESSIE A pan? Nigdy nie pragnął pan ogniska domowego? *Odchodzi z próżnym talerzem i pośpiesznie odkłada go na ławkę Carvila — niewidoczną*

HENIO *Zostawiony sam, na przedzie* Dom! Gdybym się znalazł zamknięty w tym, co sta-

ry nazywa domem, wywiałbym trzeciego dnia — albo położyłbym się do łóżka i umarł, zanim by tydzień upłynął. Umrzeć w domu — brr!

BESSIE *Wraca; staje i mówi od płotu* A gdzie to pan chciałby umrzeć?

HENIO W puszczy, na morzu, na jakimś diabelskim szczycie górskim, do wyboru. Chociaż takiego szczęśliwego przypadku nie mogę pewnie się spodziewać.

BESSIE *Z daleka* Czy by to było szczęście?

HENIO Tak! Dla tych, dla których domem jest świat.

BESSIE *Wychodzi naprzód wstydliwie* Świat to zimny dom — jak powiadają.

HENIO *Trochę ponuro* Ano, tak — gdy już człowiek się wykończy.

BESSIE Widzi pan! *Z naciskiem* A wreszcie statek nie jest tak bardzo duży.

HENIO Nie. Lecz morze jest wielkie. Zresztą, cóż tam statek! Kocha się go, a potem rzuca. panno — pani ma na imię Bessie, prawda? ... Podobna mi się to imię.

BESSIE Podobna się panu moje imię! Dziwne, że je pan spamiętał... Dlatego, zapewne.

HENIO *Z lekką wyższością w głosie* Jakie szanse! Póty, póki człowiek żyje. A podróż nie jest małżeństwem — jak my, marynarze mawiamy.

BESSIE Więc pan nie wziął ślubu — *Ruch w kierunku Henia* — z żadnym statkiem.

HENIO *Miękki śmiech* Ze statkiem! Kochałem i porzuciłem ich więcej niż sięgam pamięcią. Zajmowałem się wszystkim, co tylko można sobie wyobrazić, z wyjątkiem kotlarstwa i żołnierki; objeżdżałem granice, włóczyłem się i upolowałem wieloryba na harpun; oporządzałem takielunek, zdzierałem skóry z zabitych cielaków i poszukiwałem złota — i zostawiłem za sobą więcej pieniędzy, niż stary by zebrał w całym życiu.

BESSIE *Zamyślona* Mogłabym go przekonać w ciągu tygodnia...

HENIO *Niedbale* Na pewno pani by mogła. *Żartując* Nie wiem, ale trochę poczekałbym, jeśli obieca pani pogwarzyć ze mną od czasu do czasu. Polubiłem pani głos. Lubię głos właściwej kobiety.

BESSIE *Odwróciła głowę* Polubił pan! *Ostro* Gwarzyć! Nonsens! Bardzo by pana obchodziło. *Rzeczowo* Oczywiście, musiałabym, czasem... *Znowu zamyślona* Tak. W ciągu tygodnia — jeśli — jeśli bym tylko wiedziała, że potem próbowałby pan żyć z nim w zgodzie.

HENIO *Opiera się o latarnię; warczy przez zaciśnięte zęby* To już bardzo zachęcające. Eh, cóż! Nie! *Nuci znacząco*

Hejże, Ha!...

Żegnaj, luba ma!

Ranek już nadszedł:

Ruszam do Rio Grande!

BESSIE *Drżąc* Cóż to jest?

HENIO Jakto! Refren piosenki na podniesienie kotwicy. Pocałuj i jazda. „Dowidzenia“ statku dalekomorskiego... Pani jest zimno. Oto pani szmatka, którą podniosłem i zapomniałem, że mam na rękę. Proszę się trochę odwrócić. Tak. *Otula ją, rozkazująco* Proszę z przodu trzymać oba końce razem.

BESSIE *Miękko* Tydzień nie jest tak bardzo długi.

HENIO *Zaczyna gwałtownie* Pani myśli, że ja... *Milknie, patrzy na nią z jednej strony* Nie mogę kryć się po rowach i żyć powietrzem i wodą, prawda? Nie mam pieniędzy — wie pani.

BESSIE On zbierał i oszczędzał latami. Wszystko, co ma, to dla pana i może...

HENIO *Przerywa* Tak. Jeśli przyjdę, by usiąść na tym jak jaka przeklęta ropucha w dziurze. Dziękuję, nie.

BESSIE *Druzgocząco* Więc po co pan tu przyjechał?

HENIO *Gotowo* Po pięć funciaków — *Przerwa* po wspaniałej bibce.

BESSIE *Druzgocząco* Pan i ten — ten pański kolega piliście.

HENIO *Śmieje się* Niech się pani nie krzywi, droga pani. Rudy nie jest złym chłopcem. Chociaż nie umie dbać o siebie. Zalany przez trzy dni. *Poważny* Niech pani nie myśli, że ja tak zawsze. Nic i nikt nie namówi mnie. Jestem twardy jak skała.

BESSIE *Mruczy* Oh! Zdaje mi się, że par wcale nie taki zły.

HENIO *Zgadza się* Tu ma pani rację. *Impulsywnie* Proszę spytać dziewczyny w całym... *Potapuje się* Rudy na swój sposób też bystry, uważa pani. Dziś rano zagląda do gazety i mówi do mnie: „Hejże! Henio, popatrz — kochający rodzic — pięć funciaków murowane“. Więc poszperaliśmy po kieszeniach, żeby się złożyć na bilet...

BESSIE *Niedowierzająco* I po to pan tu przyjechał?

HENIO *Zaskoczony* A po cóż innego? Prosić o pięć funciaków, to nie dużo — raz na szesnaście lat. *Przez zaciśnięte zęby, spoglądając na Bessie z boku* A teraz jestem gotów odejść — za cenę biletu.

BESSIE *Składając ręce* A któż to słyszał, żeby tak mówić? Nie dam wiary, żeby pan tak naprawdę myślał.

HENIO Co? Że poszedłbym? Spróbuje pani, to zobaczy.

BESSIE *Nie zważając na niego* Czy na nikim panu nie zależy? Czy nigdy nie chciał pan, żeby komuś zależało na panu?

HENIO Na świecie! *Chelpliwie* Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie by nie można znaleźć kogoś, komu zależy na Heńku Hagberdzie. *Przerwa* Ja nie z takich, co to kryją się pod fałszywe nazwiska.

BESSIE Kogoś — to znaczy kobiety.

HENIO No, a jeśli tak, to co?

BESSIE *Niepewnie* Ah, już rozumie. Zbыва je pan swymi gładkimi mowami, obietnicami, a potem...

HENIO *Gwałtownie* Nigdy!

BESSIE *Przestraszona, cofa się o krok* Ah! pan nigdy...

HENIO *Spokojnie* Kobiecie jeszcze nigdy nie powiedziałem kłamstwa.

BESSIE Jakiego kłamstwa?

HENIO Jakże! Takiego, które łatwo przychodzi mężczyźnie na język. To nie dla mnie. Podlizywanie się zostawiam tym słodkim chłopczkom, których pani ma na myśli. Nie! Jak mnie kochasz, to mnie bierz. A jak mnie bierzesz — cóż, wtedy któregoś pięknego dnia wszystko zakończy pieśń przy kabestanie, na dalekomorskim statku.

BESSIE *Po krótkiej przerwie, z wysiłkiem* Więc to jest tak jak pański statek.

HENIO *Rozbawiony* Właśnie! Aż do teraz. Bo inaczej nie byłbym tutaj, w głupim położeniu.

BESSIE *Udana obojętność* Może to dlatego, że jeszcze nigdy pan nie spotkał... *Zawodzi głos*

HENIO *Niedbale* Może. I może nigdy nie spotkam... Jaka szansa? Właśnie szukam czegoś... Głupstwo. Kocham wszystko — statki i kobiety. W jakie kłopoty dzięki nim wpadałem i z jakich kłopotów się wydostałem — słowo daję! Ej, panno Bessie, o czym pani myśli?

BESSIE *Podnosi głowę* Ze podobno nigdy nie powiedział pan kłamstwa.

HENIO Nigdy, hę? Nie jest pani tak bezlitosna.

BESSIE *Odważnie* Nigdy — to znaczy kobiecie.

HENIO Nie *Poważny* Nie takiego, co by miało znaczenie. *Na stronie* Jakoś nic się nie zbliżam do pieniędzy na bilet. *Opiera się zmęczony, o latarnię, zapatrzony w dal.* *Bessie, na lewo, patrzy na niego*

HENIO *Odwraca głowę, wpatrując się w Bessie* Otóż myślałem sobie, że pani jest dziewczyną o bardzo ładnej figurze.

BESSIE *Przez chwilę patrzy w bok* Czy to prawda, czy jedno z tych kłamstw, co nic nie znaczą?

HENIO *Trochę się śmieje* Nie! To prawda. Nikt pani tego jeszcze nie powiedział? Mężczyźni tutaj...

BESSIE Jak rok długi prawie z nikim nigdy nie rozmawiam. Ojciec jest niewidomy. Nie lubi obcych i nie znosi myśli, że ja mogę się znajdować dalej, niż sięga jego wołanie. Nikt tu często nie przychodzi.

HENIO *Roztargniony* Niewidomy — ah! oczywiście.

BESSIE Przez całe lata...

HENIO *Współczująco* Przez całe lata. W jednej z tych kłitek. Jest pani dobrą córką. *Rozjaśniając się* Całkowicie wspaniałą dziewczyną. Wygląda pani na taką, co to jest dobrym przyjacielem, gdy człowiek wlezie w kłopot. I w całym mieście nie ma ani jednego takiego mężczyzny, który by się na pani poznał. Panno Bessie, nie mogę w to uwierzyć. *Bessie przeczy głowę* Powiedziałem: mężczyzny. *Pogardliwie* Stado oswojonych królików, powinienem był powiedzieć... *Urywa* Aha! O której jest ostatni pociąg do Londynu, nie wie pani?

BESSIE *Przypatruje mu się uważnie* Po co? Pan nie ma pieniędzy.

HENIO Właśnie. *Opiera się z powrotem o latarnię* Pech. *Sugestywnie* Lecz w czasie wszystkich moich podróży nigdy mi się nie trafiło, żeby porządna kobieta odmówiła pomocy, gdy się znalazłem w kłopotcie. Nie wiem dlaczego. A może od razu, bez słów poznają, że kocham je wszystkie. *Żartobliwie* Nieomal się zakochałem w pani, panno Bessie.

BESSIE *Niepewny śmiech.* Jakto! Nawet pan

nie przyjrzał się mej twarzy. *Postępuje krok do Henia, jak gdyby przymuszona.*

HENIO *Pochylając się elegancko do przodu.* Trochę błada. Niektórym tak dobrze. *Wyciąga rękę, chwyta Bessie za ramię. Przyciąga ją do siebie.* Niech spojrzę... Tak. Dobrze z tym pani. *Dopiero po chwili Bessie podnosi rękę, dłońmi do Henia i odwraca głowę.*

BESSIE *Szeptem.* Proszę puścić. Szamocze się trochę. *Puszczona stoi odwrócona.*

HENIO Bez obrazy. *Staje tyłem do widowni, patrząc na domek kapitana Hagberda.*

HENIO Bez obrazy. *Staje tyłem do widowni szepcze.* Mój głos — moja figura — serce — twarz...

Cisza. *Twarz Bessie stopniowo nabiera światła.* *Henio mówi od razu, z wyrazem uwagi, pełnej nadziei.*

HENIO *Od plotu.* Wygląda na to, że stary poszedł spać w oczekiwaniu na to swoje jutro.

BESSIE Niech pan odejdzie stamtąd. On bardzo mało śpi.

HENIO *Schodzi.* Całą historię poplątał w węzeł nie do rozsupłania. *Zmartwiony.* Kto chce rozplątać, niech spróbuje. *Pogardliwy wykrzyknik.* Jutro! Phi! Będzie jeszcze jednym zwariowanym dzisiaj.

BESSIE Do tego doprowadziło właśnie rozmyślanie nad nadzieją. Ludzie tak go nabierali. Właśnie jego miłość do pana tak niepokoi jego myśl.

HENIO Tak. Diabelną lopatą w głowę. Stary zawsze dziwnie mi okazywał swą miłość.

BESSIE *Zatroskany* staruszek, pełen oczekiwania i nadziei — zostawiony sam — zupełnie sam.

HENIO *Zniżonym głosem.* Czy kiedykolwiek powiedział pani, dlaczego matka umarła?

BESSIE Tak. *Trochę gorzko.* Była niecierpliwa.

HENIO *Gest ręką mówi nieokreślenie, ale z uczuciem.* Pewnie była pani bardzo dobra dla starego.

BESSIE *Próbuje.* Nie spróbowałby pan być jego synem?

HENIO *Gniewnie.* Nie sprzeciwiać się; czy tak? Pani, zdaje się, zna tatę bardzo dobrze. I ja też. Ma całkiem fioła, żeby każdy robił to, co on chce — a ja za długo robiłem to, co ja chciałem. Kłopot jak diabli.

BESSIE Cóż by to panu zaszkodziło nie sprzeciwiać mu się przez jakiś czas — a z czasem może by pan się przyzwyczaił.

HENIO *Przerywa kwaśno.* Nie przyzwyczaiłem się chować pazurów. Jest nas dwóch. Obaj Hagberdowie. Powinienem myśleć o moim pociągu.

BESSIE *Gorąco.* Dlaczego? Nie potrzeba. Przejdźmy się na chwilę drogą.

HENIO *Przez zęby.* I nie mam pieniędzy na bilet. *Spogląda do góry.* Niebo się zaciągnęło. I czarne. Będzie brzydka, wietrzna noc... żeby iść szosą. Ale ja i wietrzne noce jesteśmy przyjaciółmi, kiedykolwiek wieje wolny wiatr.

BESSIE *Prosząco.* Nie trzeba. Nie trzeba. *Spogląda znacząco na domek Hagberda.* *Odchodzi parę kroków, jak gdyby chciała odciągnąć Henia dalej.* *Henio idzie za nią.* *Oboje zatrzymują się.*

HENIO *Chwilę czeka.* A co z tym ubzduranym jutrem?

BESSIE Niech pan to zostawi mnie. Oczywiście, nie wszystkie jego wyobrażenia są szalone. Wcale nie. *Przerwa.* Skupił się nąd czymś, co większość ludzi z miasta uważałaby na całkiem rozsądne. Jeśli kiedykolwiek będzie z panem o tym rozmawiał — proszę mu nie zaprzeczać. To by — to by było niebezpieczne.

HENIO *Zdziwiony.* Co by zrobił?

BESSIE Coś — nie wiem — coś gwałtownego.

HENIO *Przestraszony.* Sobie?

BESSIE Nie. Obawiam się, że panu.

HENIO *Niechętnie.* Niech spróbuje.

BESSIE Nigdy. Niech się pan nie kłóci. Ale może nawet nie spróbuje rozmawiać z panem o tym. *Głośno myśli.* Kto wie, co z nim mogę zrobić w ciągu tygodnia. Mogę, mogę. Muszę.

HENIO Niech pani powie — jakiz to jego rozsądny pomysł, o który nie wolno mi się kłócić?

BESSIE *Odwraca się do Henia, spokojna, zmuszająca.* Jeśli uda mi się przekonać go, że pan wrócił, będzie tak normalny, jak pan albo ja. Wszystkie szalone pomysły zginą. Ale ten drugi jest całkiem rozsądny. I nie wolno panu o niego się kłócić.

Idzie do tyłu sceny; Henio postępuje trochę za nią, do widowni dolatuje głos HENIA — spokojny. Niechaj posłyszę, o co chodzi.

Głosy milkną. Akcja widzialna jak poprzednio. Henio cofa się, szybko odchodzi. Bessie, u jego łokcia, idzie za nim, z dłońmi złożonymi.

Głosy znowu wybuchają.

HENIO *Podniecony, chodzi tam i z powrotem.* Nie! Chce, żebym ja — jego dom. Na co komu

jego dom?... Ja potrzebuję ciężkiej pracy, albo pełnego ognia i wrzawy towarzystwa, albo większej przestrzeni aniżeli cała Anglia. Chce, żebym ja! Człowiek jak ja — za jego parszywe pieniądze — na całym świecie nie ma dosyć pieniędzy, żeby mnie zamienić w przeklętego, oswojonego królika w klatce. *Staje nagle przed Bessie, ręce skrzyżowane na piersi.* *Gwałtownie.* Czy pani tego nie widzi?

BESSIE *Przerażona, słabo się jękać.* Tak. Tak. Proszę tak na mnie nie patrzeć. *Nagły krzyk.* Niech pan się z nim nie kłóci. On jest szalony!

HENIO *Chytrósć w głosie.* Szalony! Ale nie on. On lubi, żeby robić jak on chce. Przywiązać mnie tu za szyję! Tutaj! Ha, ha, ha! *Głośniej.* A cały świat wcale nie jest za duży na moje rozpychanie się, mogę pani powiedzieć, panno — jak pani na imię? — Bessie. *Wzrastająca pogarda.* Ożenić się. Ja mam się ożenić i ustatkować... *Kpiąco.* A bardzo prawdopodobne, że i wypatrzył dziewczynę, niech mnie zadowolą! Z panią o tym gadał. prawda? Wolno spytać, czy pani zna tę Maryskę?

Okno u kapitana Hagberda otwiera się. Drgnęli i stają bez ruchu.

KPT. H. *U góry, powoli zaczyna.* Uśmiechnięty bubek od wiadomości ze zwariowanego miasta. *Głos jego zmienia się.* Widzę cię, Bessie...

BESSIE *Przejmująco.* Panie kapitanie! Niech pan milczy. Pan nie rozumie. Na Boga, proszę!

KPT. H. Natychmiast go wyrzucić, bo powiem Heniowi. W tym zwariowanym mieście nie nie wiedzą o Heniu. Henio wraca jutro. Słyszysz? Jeszcze jeden dzień!

C i s z a

HENIO *Mruczy.* No! Ależ z niego facet.

KPT. H. *Chichocze miękko.* Nic się nie bój! Ożeni się z tobą. *Nagła złość.* Musi. Ja go zmuszę. Albo, jak nie — *Wściętkły.* — wydziedziczę go, zostawię mu szylinga, a tobie resztę. Huncwot. Niech się zagłodzi!

Okno się zamyka

HENIO *Powoli.* Więc to ty — tą dziewczyną. To ty! Zaczynam rozumieć... Na Boga, serce masz równie miękkie jak swój kobiecy głos.

BESSIE *Wpół odwrócona; dłonie przy twarzy.*
Widzi pan! Proszę nie zbliżać się do mnie.

HENIO *Podchodzi o krok.* Muszę spojrzeć jeszcze raz na twą bladą twarz.

BESSIE *Niespodzianie obraca się i popycha oburącz; Henio zatacza się w tył i staje bez ruchu; wściekle.* Proszę odejść.

HENIO *Przypatrując się jej.* Zaraz. Ale kobiety musiały zawsze wydostawać mnie z kłopotu. Jestem teraz żebrakiem i ty musisz mi pomóc.

BESSIE *Na słowo „żebrak“ zaczęła grzebać po kieszeni sukni, mówi dziko.* Tu. Proszę. Niech pan nie patrzy na mnie. Niech pan nie mówi do mnie!

HENIO *Kotylsząc się podchodzi pod lampę; patrzy na monetę w dłoni.* Pół funciaka. . . Mój bilet!

BESSIE *Dłonie zaciśnięte.* Po co pan tu jeszcze jest?

HENIO Hej! Ty jesteś morową dziewczyną. Słowo daję. Mam wielką ochotę zostać — na tydzień.

BESSIE *Ból i wstyd.* Oh!... Na co pan czeka? Gdybym miała więcej pieniędzy, dałabym wszystkie, wszystkie. Dałabym panu wszystko, co mam, żeby pan tylko poszedł — zapomniał, że kiedykolwiek słyszał mój głos i widział mą twarz. *Zakrywa twarz dłońmi.*

HENIO *Trzeźwy, przypatruje się jej.* Nie ma strachu! Nie zapomniałem ani jednej z was na całym świecie. Niektóre dały mi więcej niż pieniądze. Głupstwo. Nie można mnie kupić — i nie można się wykupić. . .

Podchodzi do niej. Chwyta jej ramiona. Krótka szamotanina. Bessie się poddaje. Spadają jej włosy. Henio całuje jej czoło, policzki, usta; potem ją puszcza. Bessie zatacza się do plotu. Henio wychodzi; miarowy krok, bez pośpiechu.

SCENA V

Bessie. Kapitan Hagberd w oknie.

BESSIE *Szklane oczy, włosy luźne, opiera się o plot; woła.* HENRYKU! Zbiera spódnice i biegnie kawalek. Henryku, wróć! Zatacza się o latarnię. Henryku! *O wiele ciszej.* Henryku! *Szeptem.* Zabierz mnie ze sobą. *Zaczyna śmiać się, naprzód słabo, potem głośnie.*

Otwiera się okno, chichot kapitana H. miesza się ze śmiechem Bessie; śmiech B. gwałtownie ustaje

KPT. H. *Jeszcze chichocze; mówi ostrożnie.* Poszedł już, ten bubek od informacji? Czy widać go, moja droga?

BESSIE *Wolno, jękając się.* N-nie, nie! *Odchodzi od latarni.* Nie widać go.

KPT. H. *Niespokojnie.* Uśmiechający się włoczyki, moja droga. Dobrze zrobiła. To ty go odpędziłaś. Dobrze zrobiłaś.

Scena stopniowo ciemnieje

BESSIE Niech pan zamknie okno i będzie cicho! Dostyc pan narobił złego.

KPT. H. *Zaniepokojony.* Dlaczego? Czy jeszcze go słyszysz, moja droga?

BESSIE *Łka, bezsilnie opierając się o plot.* Nie! Nie! Nie słyszę. Już go nie słyszę.

KPT. H. *Tryumfująco.* Teraz już wszystko będzie w porządku, moja droga, aż jutro wróci nasz Henio. *Wymuszony, bulgoczący śmiech.*

BESSIE *Roztargniona.* Proszę być cicho. Niech pan zamknie dom. Przez pana zwarem. *Traci panowanie nad sobą; z podnoszącym się naciskiem.* Przez pana wariuję. *Z rozpaczą.* Nie ma jutra! *Opada na ziemię blisko środka plotu.* *Cichy płacz.*

Scena widzialnie ciemnieje

KPT. H. *U góry, głos nagle przerażony i przenikliwy.* Co! Co powiadasz, moja droga? Nie ma jutra? *Złamany, bardzo słabo.* Nie — ma — jut — ra? *Okno zamyka się.*

CARVIL *Z wewnątrz, przytłumione wrzaski.* Bessie — Bessie — Bessie — Bessie. . . *Na pierwszy okrzyk Bessie zrywa się i zaczyna ślepo wlec się do drzwi. Słaby błysk burzy, potem cichy grzmot.* Ty! — Bessie!

K O N I E C

Niniejsza sztuka jest objęta prawem „Copyright“ i przed jej wystawieniem należy uzyskać zezwolenie powierników majątku J. Conrada (Adres: Messrs. J. M. Dent & Sons, Ltd., Publishers, Aldine House, Bedford Street, London, W.C.2).

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

ZDZISŁAW BRONCEL

FILMOWA REWOLUCJA

„3-D“ I FILM PANORAMICZNY

Film wszedł w okres nowej rewolucji, która swoim zasięgiem i znaczeniem może nawet przewyższyć gwałtowne zmiany, wywołane swego czasu wprowadzeniem filmów dźwiękowych. Przyczyny są dwie: przede wszystkim rozrost telewizji i związany z tym fakt, że coraz więcej ludzi woli oglądać filmy na ekranie telewizyjnym, a następnie — opracowanie równocześnie kilku systemów tzw. filmu plastycznego, czyli trójwymiarowego.

WIELKIE WIDOWISKA

Film jest nie tylko sztuką, ale i przemysłem. Bardzo więc możliwe, że gdyby nie konkurencja telewizji, musielibyśmy jeszcze długo czekać na zmianę techniki filmowej. Jednakże od roku 1948 dochody kin i wielkich wytwórni filmowych zaczęły spadać tak zastraszająco, że stało się oczywiste, iż Hollywood musi ofiarować publiczności świeżą formę rozrywki, mającej magnes rzeczonej nowej i niezwyklej.

Pierwszą odpowiedzią filmu na popularyzację telewizji był powrót do wielkich widowisk, z którymi nie mogły się mierzyć obrazy, oglądane na małym ekranie telewizyjnego aparatu. Kiedy na czoło filmów, cieszących się największym powodzeniem, wysunęły się takie obrazy jak „Dawid i Betszeba“, „Samson i Dalila“, wielki film cyrkowy de Mille'a „Największe widowisko świata“ oraz wznowienie „Quo vadis“, Hollywood zrozumiał, że publiczność zawsze jest gotowa porzucić domowe zacisze w jesienny czy zimowy wieczór, aby zobaczyć film, mający w sobie coś z olbrzymiego historycznego fresku i barwnej panoramy wydarzeń. A ponieważ panorama wymaga głębokiej perspektywy i rozległego pola widzenia, weszły w użycie dwa konkurencyjne systemy: *Cinerama* i *Cinemascope*, polegające głównie na powiększeniu ekranu i równoczesnym użyciu trzech aparatów wyświetlających.

Pierwszy z wielkich filmów systemu *Cinemascope* ma wejść na ekrany w końcu października w Ameryce, a w początkach listopada w Anglii. Będzie to filmowa wersja głośnej powieści L. Douglasa „Szata Chrystusa“ (*The Robe*), której kulminacyjnym momentem jest scena ukrzyżowania, rywalizująca rozległością i głębią obrazu z panoramami Golgoty.

FILM TRÓJWYMIAROWY

Cinemascope została jednak uprzedzona przez trójwymiarowe filmy wytwórni Warner Bros., tzw. powszechnie filmy „3-D“. Używają one systemu „Natural Vision“. Sama nazwa „Naturalny sposób patrzenia“ ma wytworzyć wrażenie, że widz osiąga pełne złudzenie plastyczności obrazu. Metoda, opatentowana przez wynalazcę Günzburga, polega na równoczesnym fotografowaniu sceny przez dwa aparaty, ustawione pod odpowiednim kątem. Następnie rzuca się na ekran dwa obrazy, nakładające się na siebie, z których każdy jest przeznaczony tylko dla jednego oka. Widz, patrząc przez okulary z polaryzowanymi szklami, uzyskuje taki obraz, jakby każde oko oglądało wypukły rzeczywisty przedmiot.

System Günzburga ma tę zaletę, że nie wymaga kosztownych przeróbek aparatury ani też przebudowy kina dla pomieszczenia większego ekranu. Toteż kilka wytwórni szybko rozpoczęło produkcję filmów „3-D“, licząc na to, że urok nowości ściągnie publiczność. Pierwsze miejsce zajął Warner Bros., który i w rewolucji dźwiękowej odważył się na najwcześniejszy eksperyment, wypuszczając obraz „Śpiewak jazzowy“ ze słynnym Al Jolsonem. Dwa filmy: „Bwana devil“ i „House of wax“ (Szatan mocarz i Dom figur woskowych) obiegiły już Amerykę i Europę. Były to filmy, beceremonialnie wykorzystujące nowy efekt, odwołujące się do zmysłu wzroku, a nic nie wnoszące artystycznie. „Dom figur woskowych“

przypominał jeden z najwcześniejszych obrazów dźwiękowych „Tajemnica muzeum figur woskowych“, a „Bwana devil“ był drugorzędny filmem o przygodach w dżungli. Pod wpływem powodzenia tych prób rozpoczęto produkcję całej serii obrazów, przeznaczonych dla 3-D, a Cecil de Mille powziął wtedy zamiar zrealizowania nowej, trójwymiarowej wersji słynnego niegdyś filmu „Dziesięcioro przykazań“.

PRZESZKODY PSYCHOLOGICZNE

Tak jednak, zdawałoby się, drobny fakt jak używanie specjalnych okularów może mieć decydujące znaczenie dla powodzenia tej próby. Świadomość bowiem, że trzeba stosować specjalny przyrząd do oglądania obrazu, może zahamować zdolność widza do całkowitego poddania się wpływowi akcji, do emocjonalnego uczestniczenia w wypadkach, rozgrywających się na ekranie. Widz może spoglądać na nowe trójwymiarowe dziwo jak na zręczną sztukę, czarodziejskie złudzenie, ale nie jak na fragment autentycznego życia. Ten stosunek, umacniany w świadomości przez pamięć, że tylko dzięki specjalnym okularom osiąga się to wrażenie, może zniszczyć dramatyczną sugestię filmu z tym ostatecznym rezultatem, że kto raz zobaczy obraz 3-D, nie będzie ciekawy następnego. Byłoby to powstanie typowej reakcji wobec osobliwości i technicznej sztuczki, a nie wobec nowego dzieła sztuki filmowej.

Oprócz tej przeszkody psychologicznej natury, jest jeszcze trudność często fizyczna. Trójwymiarowa rzeczywistość otacza nas ze wszystkich stron, podczas gdy sztuczny, wypukły obraz filmu 3-D dosłownie wyskakuje, czy nawet — „wystaje“ z płaskiego ekranu, objętego ramą jak wiszący obraz. Zjawia się wtedy drażniący efekt jakby okna w ścianie kina, odsłaniającego normalny świat, z którego od czasu do czasu wynurza się poszczególna postać, czy pojedynczy gest — sięgając ku widowni jak tajemnicza dłoń w koszmarze dręczącego snu.

Płaski film czarno-biały lub kolorowy stwarzał wrażenie bliskości i odległości poprzez grę światła i cieni i wieloplanowe ustawienie osób i przedmiotów. Dawało to uczucie głębi tak, jak dobrze namalowany krajobraz, podczas gdy w nowej technice obraz jest jakby podzielony na kilka różnych planów i tylko plan pierwszy ma rzeczywiście trójwymiarowy charakter.

II

Od dawna już film usiłował rozwiązać w zadowalający sposób problem osiągnięcia złudzenia

trójwymiarowości. Próby z zastosowaniem różnego typu okularów powtarzano wielokrotnie od 1930 roku, a wkrótce po zakończeniu wojny zrealizowano w Sowietach przy pomocy niemieckich techników pełnometrażową wersję plastyczną „Robinsona Kruzo“. Najwcześniejszy film trójwymiarowy nakręcili dwaj wiedeńscy amatorzy filmowi w siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia, osiągając plastyczny obraz skoku wzwyż; w roku 1877 Reynaud doprowadził do skutku swój „Teatr złudzeń optycznych“, a w 1896 Raoul Grimoin-Sanson opatentował system, niespodziewanie bliski współczesnej metodzie „Cinerama“ i „Cinemascope“. Polegał on na dokonywaniu równoczesnych zdjęć przez zespół dziesięciu aparatów, co do pewnego stopnia wykorzystał francuski reżyser, Abel Gance, fotografując epizody bitewne ze swej epeji napoleońskiej w ten właśnie sposób, aby następnie rozwinąć obraz na trzykrotnie powiększonym ekranie. Po tej próbie z końca lat trzydziestych Gance marzył o filmie z życia Chrystusa, przeznaczonym dla potrójnego ekranu, to jest ekranu zaopatrzonego w boczne skrzydła i dającego widzom wrażenie śledzenia wielkiej panoramy. Kwestię skierowania oczu publiczności ku temu punktowi wielkiego ekranu, gdzie rozgrywał się główny moment akcji, miało rozwiązać umieszczenie kilku głośników, — kierunek, z którego dochodziłby głos, wywołałby odruch zwrócenia spojrzenia we właściwą stronę.

Podobne projekty i plany rozwijał znany reżyser sowiecki Eisenstein, podczas swej wizyty w Ameryce przed z górą 20 laty, i mniej więcej w tym samym czasie Autant-Lara przeniósł na film jedno z egzotycznych opowiadań Londona, posługując się ekranem o zmiennej wielkości. W filmie Autant-Lara obraz kurczył się do przestrzeni centralnego ekranu, gdy akcja toczyła się w niewielkim wnętrzu, to znów obejmował panoramiczną powierzchnię trzech połączonych ekranów, gdy akcja przenosiła się w otwartą przestrzeń.

Po tych próbach pomysł stosowania panoramicznego ekranu był już w pełni dojrzały do szerokiej realizacji, ale dopiero nacisk sytuacji wytworzonej przez popularność telewizji doprowadził do rzucenia na rynek filmów, przystosowanych do nowego typu ekranów.

FILM PANORAMICZNY

Kinoteatr „panoramiczny“ będzie posiadał duże, wklęsły ekran, rozciągający się swymi skrzydłami na boczne ściany widowni, co mniej więcej pokrywa normalną przestrzeń, obejmowaną przez

wzrok ludzki z niezbyt dużej odległości. System „Cinerama“ używa ekranu sześciokrotnie większym od dzisiejszej przeciętnej wielkości, przy czym środkowa część jest płaska, dwie zaś boczne — wygięte. Na to szerokie półkole trzy aparaty projekcyjne rzucają trzy obrazy, które wzajemnie się pokrywają i łączą, tworząc jeden wielki obraz dla oka widza. „Cinemascope“ zaś usuwa pewne techniczne niedokładności tej metody, posługując się jednym wydłużonym, wklęsłym ekranem i jednym tylko aparatem projekcyjnym. Panoramiczny efekt obrazu powstaje wskutek zniekształcenia zdjęcia przez specjalne soczewki aparatu fotograficznego, przy czym następnie soczewki aparatu projekcyjnego rekompensują deformację przy dokonywaniu zdjęć.

III

Artystyczną zdobyczą „Cinerama“ i „Cinemascope“ dla sztuki filmowej jest oswobodzenie obrazu z ciasnej, wąskiej ramy tradycyjnego ekranu. Obraz rozstawia się szeroko, obejmuje nas tak, jakbyśmy patrzyli na niego wychyliwszy się przez okno, wybierając wzrokiem bardziej interesujące punkty. Może najwłaściwiej byłoby porównać to z wrażeniem teatralnego widza, obserwującego akcję na bardzo rozległej scenie, tak rozległej — że wzrok nie ogarnia już całości bocznych kulis i ramy proscenium. To porównanie ma jednak tę słabą stronę, że w teatrze działa prawo naturalnej perspektywy i postacie aktorów maleją w miarę cofania się w głąb sceny, podczas gdy na wklęsłym ekranie perspektywa ulega sztucznej poprawie, zachowującej pierwszoplanową wielkość dla głównych osób toczącej się akcji.

Jest naturalną rzeczą, że najlepiej w tej rozległej wizji wypadną wielkie widowiska, tłumne sceny, szeroka przestrzeń krajobrazu, podczas gdy do pewnego stopnia tracić będzie sylwetka i gra aktora. Występuje to wyraźnie na przykładzie programu kina „Cinerama“, uruchomionego w Nowym Yorku, na który składają się filmy podróźnicze, zdjęcia z lotów nad Stanami Zjednoczonymi oraz fragmenty z „Aidy“ w mediolańskiej operze „La Scala“.

FILM MONUMENTALNY I — KAMERALNY

Już sam program zwraca uwagę na pewne ograniczenia artystyczne nowej metody. Mianowicie oko bardziej przyzwyczaja się do barwnego, panoramicznego zdjęcia niż do płaskiej, białoczarnej fotografii i w rezultacie wszystkie nagłe

przejścia oraz ostre cięcia montażu są bardzo utrudnione. Trudno także wyobrazić sobie olbrzymie, plastyczne zbliżenie twarzy aktora, wyrażającej gwałtowną emocję. Obraz wzruszenia, podanego w tak nienaturalnej przesadzie, miałby efekt historyczny, jeśli nie wręcz groteskowy. Podobnie wszelki intymny dialog albo będzie się kłócił z nienaturalnymi rozmiarami postaci, albo też będzie ginął w rozległej przestrzeni nowego ekranu.

Można całość tych zastrzeżeń streścić w zdaniu, że Cinemascope z pewnością zwiększy możliwości malowania efektownego tła akcji, nie wiadomo jednak, czy nie wywrze niszczącego wpływu na dramatyczną budowę filmu. Obrazy z Dalekiego Zachodu zyskają na tym prawdziwym wejściu w przestrzeń, komedie konwersacyjne — z pewnością tracą na tej zamianie, podobnej chyba do przeniesienia teatralnych widowisk na obszerną arenę. Grywano już Słowackiego i Corneille'a na tle renesansowych zamków i chyba każdy dramat monumentalny, każdy tekst poetycki o szekspirowskim dynamizmie potrafi wytrzymać — przy odpowiedniej technice aktorskiej — przytłaczający wpływ gigantycznej sceny. Ale jak np. nie do pomyślenia jest wystawianie w podobnych warunkach Ibsena czy Eliota, równie niewykonalne będzie utrzymanie wielu dzisiejszych filmów, granych dyskretnie i zbliżonych raczej do sztuki teatralnej.

W pierwszej chwili możemy być zaskoczeni tym, co właściwie stanowi powrót do charakteru obrazów filmowych sprzed dni udźwiękowania dialogu, do filmu goniącego za efektem czysto wizualnym. Nie wiadomo jednakże, jak film panoramiczny dalej się rozwinie i jakie świeże sposobności dla nowych efektów dramatycznych odkryje utalentowany reżyser w rozmachu i wspinałości widowiskowej systemu „Cinemascope“. Dla wszystkich wizji przyszłości, także — dla ewokacji przeszłości, dla obrazów fantastycznych a równocześnie dla filmów dokumentarnych, odkrywa się nowe pole do popisu. „Podróż międzyplanetarna“, albo współczesny odpowiednik fresków historycznych de Mille'a, czy nawet „Wojna światów“ Wellsa albo rzecz z rodzaju „King-Konga“ może się stać w wydaniu „panoramicznym“ widowiskiem, którego atrakcyjność, wpływ na publiczność trudno określić.

Nie znaczy to wszakże, aby dotychczasowy film, o dużych walorach dramatycznych i poważnym artystycznym znaczeniu, zupełnie zniknął z ekranu.

Proces przejścia kin na system „Cinemascope“ będzie długi i kosztowny, ale nawet i po jego zakończeniu obecna sztuka filmowa pozostanie czy to w formie rozrywki dla bardziej literacko wymagających widzów, czy też jako film telewizyjny, równie kameralny i intymny w stosunku do wszelkich form 3-D, jak np. książka wobec ilustrowanego dziennika.

Jeżeli zaś rozwiną się eksperymenty Autant-Lara z ekranem o z m i e n n e j wielkości, nie trze-

ba odrzucać perspektyw połączenia się jednego i drugiego typu sztuki filmowej produkcji i wytworzenia czegoś, co byłoby podobne do tych inscenizacji teatralnych, w których światło reflektora rozjaśnia monumentalną scenę królewskiego dworu lub placu bitwy, by następnie szczupłym kręgiem światła wydobyć z ciemności moment pożegnania kochanków, na wspaniałą dekorację zarzucić zasłonę czerni i związać serca widzów z namiętnym rytmem miłosnego wiersza.

N O W E K S I A Ź K I

Wacław Grubiński: PANI SAPOWSKA. Londyn, 1953. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas“. Stron 182.

Książka Grubińskiego — to jeszcze jedna opowieść, osnuta na tle wydarzeń z okresu okupacji niemieckiej podczas ostatniej wojny. Autor stawia sobie jednak cel odmienny niż wielu jego poprzedników. Nie ma ambicji odtworzenia męczeństwa narodowego, na dalszym planie stawia uchwycenie tej szczególnej atmosfery nienawiści, jaką wywołały okrucieństwa zaborców. Okres nieubłaganej walki z okupantami jest dlań przede wszystkim materiałem do rozsnucia gwałtownej, dynamicznej akcji oraz niewyczerpanym źródłem wiecznie sensacyjnych epizodów.

Wobec takiego stanowiska zasadniczego trafny był zapewne instykt, który skłonił autora do nadania „Pani Sapowskiej“ formy „filmu mówionego“, czyli jakby scenariusza dla reżysera-czytelnika. Nie jest to pierwsza próba tego rodzaju. Między innymi w taki właśnie sposób ujął głośny pisarz francuski Jules Romains humorystyczne dzieje nieistniejącej miejscowości Donogoo Tonka, której nazwa zjawiała się przez pomyłkę w dziele uczonego geografą, ale dzięki energii przedsiębiorczego awanturnika stała się rzeczywistością. Precedens ten dobrze wroży polskiemu autorowi, gdyż „Donogoo Tonka“ osiągnęła znaczną poczytność, ostatnio zaś ma pojawić się na scenie paryskiej w przeróbce scenicznej.

Czy tego rodzaju „filmowa“ metoda pisarska zasługuje na szersze rozpowszechnienie, to rzecz raczej wątpliwa. Stenograficzne opisy poszczególnych sytuacji nigdy nie zastąpią żywych obrazów plastycznych, stanowiących przywilej

filmu. Scenariusze powstają właśnie z tą myślą, że mają je uzupełnić wrażenia wzrokowe. Literatura, która pragnie przemówić do wyobraźni czytelnika, musi z konieczności posługiwać się różnymi chwytami i środkami dodatkowymi, które w scenariuszu stosować można jedynie na nieznaczną skalę. Poza tym dzieło literackie stawia sobie bardziej złożone zadania, jeśli chodzi o przedstawianie życia wewnętrznego postaci, atmosfery otoczenia itp.

Autor zaznacza we wstępie, że zdaniem jego ze stanowiska czytelnika „najważniejsze jest... aby utwór był zajmujący“. Wiadomo jednak, że nie każdego zajmuje to samo. Takie figlarne rozważania teoretyczne najlepiej przekonają tych, którzy chcą być przekonani. Z drugiej jednak strony miarę osiągnięć literackich stanowi nie wierne stosowanie zasad ogólnych, choćby najsluszniejszych, lecz odstępstwa i wyjątki. Dlatego cieszyć się należy, że autor, który ma już za sobą wiele lat działalności pisarskiej i długie pasmo znakomitych sukcesów, zachował młodzieńczą pasję eksperymentowania. Jego świeży zapal działa zaraźliwie na czytelników nawet bardziej opornych.

Nie będziemy powieści streszczać. Odebrałyby to przyszłym czytelnikom wiele satysfakcji. Trzeba natomiast stwierdzić, że akcja zawsze rwie w pędzie niepowstrzymanym, trzymając uwagę w nieustannym napięciu. Dochodzenia Gestapo, rewizje i łapanie, zasadzki i pościgi, porwania, sądy podziemne, wyroki i egzekucje, lądowanie spadochroniarzy i walki wręcz — wszystko stanowi niejako tło dla pojawienia się pięknej, odważnej, inteligentnej kobiety, poruszającej się swobodnie, a nawet z wdziękiem w dusznej, pełnej straszliwego napięcia atmosferze. Spośród mnóstwa innych postaci wyróżnia-

ją się dr Adler, lekarz żydowski, oraz Niemiec major Schulz, odbiegający nieco od pospolitych typów.

„Pani Sapowska“ ma wszelkie dane na to, aby zapewnić każdemu rozrywkę i odprężenie. Po-

siada ona przy tym wszystkie znane zalety klarownego, zdyscyplinowanego stylu Grubińskiego. Bibliotekom polskim przybysza pozycja, której tak bardzo potrzebują: żywa, ciekawa, pasjonująca powieść.

Z Ż Y C I A Y M C A

POLSKA PRACA IMCIARSKA W NIEMCZECH

Polska praca imciarska w Niemczech Zachodnich posiada swoje charakterystyczne odrębności, różniące ją bardzo od pracy na innych obszarach.

Czynnikami pierwszym, który stwarza największe trudności do pokonania, jest *rozproszenie skupień polskich*. W Niemczech zachodnich znajduje się ponad 100 obozów mieszkalnych i osiedli, w których zamieszkuje ludność polska.

W poszczególnych krajach niemieckich obozy te wyglądają bardzo różnie. Tak np. w Württembergii są to przeważnie małe obozy barakowe, na 80—120 mieszkańców, położone gdzieś przeważnie na rozstajach lub wprost w głębi lasu, oddalone o kilka kilometrów od najbliższej wioski. W Bawarii obozy mieszkalne, z wyjątkiem słynnej (złą sławą) na tym obszarze „Valki“, są prawie zlikwidowane. Byli D.P., których ustawodawstwo niemieckie nazywa „heimatlosen Ausländer“ (bezojczyźniani obcokrajowcy), mieszkają przeważnie w przyzwoitych osiedlach mieszkaniowych, nie różniących się od normalnych, robotniczych bloków mieszkalnych. Położenie tych „Siedlungów“ jest również dużo lepsze, gdyż znajdują się one przeważnie na przedmieściach dużych miast (Monachium, Augsburg).

Schleswig-Holstein i okręg Hamburga zna przeważnie obozy barakowe, gdzie byli D.P. żyją przeważnie razem z „Flüchtlingami“ niemieckimi i bezrobotnymi, usuniętymi z mieszkań w mieście (atmosfera i wygląd tych obozów przypomina do złudzenia warszawskie baraki na Anopolu, natomiast półn. Nadrenia i Westfalia reprezentuje system mieszany: duże obozy barakowe (np. Augustdorf — obóz położony w dużym rezerwacie leśnym o bardzo dobrych warunkach klimatycznych, gdzie skoncentrowani są przeważnie chorzy na płuca, i duże osiedla mieszkaniowe na peryferiach miast Düsseldorf, Bielefeld).

Jeśli chodzi o możliwości pracy imciarskiej, zupełną anomalią jest to, że możliwości te są dużo większe w obozach barakowych, niż w osiedlach mieszkaniowych, a to z tej prostej przyczyny, że w blokach mieszkaniowych nie ma żadnych pomieszczeń na cele społeczne: świetlic, salek wykładowych itp. — podczas gdy w każdym, nawet małym, obozie barakowym zdobycie takich pomieszczeń nie jest przeważnie problemem.

Czynnikiem drugim, działającym również ujemnie, jest *sytuacja materialna* mieszkańców obozów i osiedli. W poszczególnych krajach niemieckich sytuacja ta zresztą jest bardzo różna.

Schleswig-Holstein i okręg Hamburga z jednej strony, a Württembergia z drugiej reprezentują dwie skrajności. W Württembergii 80-90% wszystkich zdolnych do pracy mieszkańców obozów znajduje się w zatrudnieniu, w Schleswig-Holstein i Hamburgu — 80-90% zdolnych do pracy pobiera głodowe zasiłki dla bezrobotnych. Ten olbrzymi procent bezrobocia w okręgach tak uprzemysłowionych jak Hamburg wydać się może zjawiskiem dziwnym. Wy tłumaczeniem są dziesiątki tysięcy nowych zbiegów ze wschodnich Niemiec, którzy są naturalną konkurencją dla „heimatlosen Ausländer“.

W jednym i drugim przypadku praca imciarska w tych obozach napotyka poważne trudności, co znów wygląda paradoksalnie.

Tam, gdzie ma się do czynienia tylko z bezrobotnymi, pobierającymi kilkudziesięciomarkowe zapomogi miesięczne, nie ma mowy o rozbudowaniu samodzielnych i samowystarczalnych finansowo grup imciarskich, gdyż opłacanie przez członków najmniejszych nawet składek jest niemal fizyczną niemożliwością. Jest to typowy teren dla serwisu imciarskiego, a w rzadkich tylko przypadkach dla Ruchu.

Z drugiej strony wszędzie tam, gdzie przeważająca większość mieszkańców obozów znajduje zatrudnienie, trudno jest zwykle poprowadzić jakiś atrakcyjny program imciarski. Ludzie

wracają z pracy późno, z uwagi na peryferyjne położenie obozów, przeważnie, po 7—8 wieczorem, są zmęczeni i po kolacji idą zaraz wypoczywać. Trzeba by bardzo bogatych środków programowych (teatr, kino itp.) — aby tych ludzi przyciągnąć do świetlicy. Oczywiście środki nasze są zbyt skromne na prowadzenie tego rodzaju programu.

Trzecim czynnikiem, znów niestety negatywnym, jest *brak przodowników imciarskich*. Brak ten, a raczej ich zbyt mała ilość, wynika z przekroju społecznego pozostałych w Niemczech Polaków. W obozach brak jest zupełnie inteligencji. Odplynęła ona stąd w kilku dużych falach. Pierwsza bezpośrednio w latach powojennych, wraz z 2 Korpusem do W. Brytanii, największa część przez repatriacje do kraju i wreszcie ostatnia fala, w latach IRO — na cały szeroki świat.

Ten, kto pozostał w Niemczech, był albo zbyt stary, albo miał podejrzaną plamkę na płucach, albo był inwalidą, obciążonym zbyt wielką rodziną, chorym itd. Z drugiej strony pozostał tutaj tzw. „element aspołeczny“ — osoby karane za przestępstwa (z tych wiele karanych za „czarny handel“ w okresie, gdy sądy alianckie karały po drakońsku za nielegalne posiadanie pudła papierosów), oraz niezamężne matki z dziećmi, których w Niemczech jest kilka setek.

Układ pod względem wieku jest również niekorzystny. Wśród Polaków, pozostałych w Niemczech, brak jest prawie zupełnie młodzieży od 10 do 20 lat. W obozach ma się przeważnie do czynienia z ludźmi po pięćdziesiątce z jednej strony i z dziećmi w wieku przedszkolnym z drugiej. Dzieci stanowią z reguły połowę mieszkańców obozów. Mężczyźni w latach od 30 do 45 służą w dużym procencie w kompaniach wartowniczych amerykańskich i angielskich.

Mówiąc o trzech głównych czynnikach, działających negatywnie, nie podobna jednak pominąć momentów pozytywnych.

Na pierwszym miejscu należy wspomnieć o *dużym poczuciu więzi narodowościowej*, co wynika z niemal zupełnego „wyobcowania“ bezojczyźnianych obcokrajowców przez otaczające środowisko niemieckie. Ghettą obozów, których charakter przenosi się także na osiedla mieszkaniowe, zabezpieczają przed rozpłynięciem się w otaczającym morzu niemieckości i powodują silniejsze zlepianie się cząstek „bezojczyźnianych obcokrajowców“ w obozowe grupy narodowościowe.

W grupach tych znajdzie się zawsze kilka jed-

nostek bardziej uświadomionych społecznie, które biorą na siebie prace w danym obozie, czy osiedlu. Są to, z rzadkimi wyjątkami, ludzie bez kwalifikacji. Prowadzą oni szkółki dokształcające bez żadnego przygotowania zawodowego; niedoświadczone dziewczęta zajmują się przedszkolami; samoucy wygłaszają referaty i organizują „akademie“, niezawsze na właściwym poziomie.

Są oni jednak wszyscy ludźmi dobrej woli, ludźmi poświęcającymi bez żadnych korzyści materialnych swój czas i pracę dla innych — i na nich to właśnie opiera się woluntariuszowska praca imciarska.

Poziom i program tej pracy jest oczywiście skromny. W ostatnim roku Służba YMCA Światowej dla b. D.P. w Niemczech zorganizowała na obszarze całych Niemiec zachodnich liczne, kilkudniowe kursy dla przodowników imciarskich z obfitym, można powiedzieć, zbyt przeladowanym programem. Oczywiście z kursów tych nie wyszli po kilku dniach wszechstronnie wyszkoleni przodownicy, ale wyszli w każdym razie ludzie, mający już bardziej określone pojęcie o YMCA. Większość z nich nie zaginęła w terenie, ale daje o sobie znać od wielu miesięcy, usiłując tworzyć, a czasem nawet naprawdę montując nowe grupy imciarskie.

I otóż właśnie owe grupy i koła imciarskie w Niemczech stanowią specjalnie trudny problem. Najczęściej się zdarza, że grupa aktywnych społecznie jednostek, które chciałyby rozwinąć pracę imciarską w danym obozie, składa się tylko z dwóch — trzech osób. Nierzadko zdarza się, że jest to samotny, pojedynczy człowiek.

W wielu przypadkach w owych obozach, gdzie mamy do czynienia tylko z pojedynczymi „społecznikami“, nie ma zupełnie warunków na utworzenie koła imciarskiego, gdyż liczba zainteresowanych aktywnie osób nie starczyłaby na obsadzenie miejsc w trzyosobowym zarządzie Koła. W tych przypadkach nie pomoże nawet naciąganie Statutu w formie uznania owej aktywnej dwu- czy trzyosobowej grupy za Komitet Organizacyjny Koła Imciarskiego.

Należy więc szukać innych rozwiązań, ponieważ kontakt nasz ze społecznością obozową poprzez owe pojedyncze osoby musi być utrzymany.

Próbą takiego rozwiązania jest pomysł, który znalazł swój wyraz w projekcie Statutu Polskiej YMCA, a który polega na wprowadzeniu nowego typu członkostwa. Jest nim *członkostwo rze-*

czywiste, pomyślane jako członkostwo Związku, niezależnie od przynależności organizacyjnej do określonego Koła. Wprowadzenie tego typu członkostwa pozwoli nam na obszarze Niemiec uznać członkostwo tych wszystkich, żyjących w rozproszeniu, naszych „aktywistów“, którzy nie mają możliwości zbudowania normalnego Koła Imciarskiego czy chociażby Komitetu Organizacyjnego Koła.

W zakończeniu pragnęlibyśmy podkreślić, że mimo, iż polska praca imciarska w Niemczech natrafia na tyle różnorodnych trudności, — kontynuowanie jej jest rzeczą konieczną.

Ludność polska w obozach czuje się wyizolowana i osamotniona, a YMCA, poprzez swe stosunki i powiązania, jest często dla tych ludzi — bez przesady — oknem na świat.

Najważniejszym jednak działem pracy jest praca nad dziećmi. Są to ostatnie lata, kiedy dzieci te można jeszcze silnie związać z językiem i tradycją ojczystą przez polską piosenkę, wierszyk, bajkę i czytanke. Za kilka lat, gdy dzieci te pójda do szkół niemieckich, — będzie już za późno. Jesteśmy tutaj w Niemczech świadomi ważności tego odcinka pracy, dlatego też w ub. roku wydaliśmy przy pomocy SPK mały śpiewnik z piosenkami dziecięcymi, a do końca tego roku planujemy wydanie powielaczowe wierszyków, wydanie śpiewnika historycznego i *akcję zbiorczą i zakupu książek dziecięcych i młodzieżowych na gwiazdkę dla dzieci polskich w Niemczech*. Akcję tę pragniemy przede wszystkim przeprowadzić wśród naszych Kolegów imciarskich, przyjaciół i sympatyków na obszarze W. Brytanii i Francji.

Jesteśmy świadomi, że przy ogromie zadań i potrzeb i przy naszych niezwykle ograniczonych środkach, możemy się w Niemczech zdobyć tylko na *program skromny*, taki właśnie, jak utrzymywanie kontaktu z naszymi członkami i sympatykami, pomoc w pracy nad dziećmi i młodzieżą, dostarczanie materiałów kulturalno-oświatowych i porady programowe, zapewnienie kontaktów międzynarodowych.

Przez ten minimalny program usiłujemy rozbudzać i utrzymywać ducha solidarności chrześcijańskiej i poczucie służby społecznej.

Jeśli nawet, mierząc siły na zamiary, nie udźwigniemy sami tego ciężaru zadań, to:

ut desint vires, tamen est laudanda voluntas!

J. H.

MIĘDZYNARODOWY OBÓZ DLA CHŁOPCÓW

W Dornberg w pobliżu Kassel (Niemcy Zachodnie) zorganizowany został w dniach od 3 do 24 sierpnia r.b. międzynarodowy obóz YMCA dla chłopców. Okolica, w której znajdował się obóz, wyróżniała się malowniczością. Za pomieszczenie służyły baraki, w których mieściła się dawniej szkoła szybowcowa. Na cele obozowe przeznaczono dwa budynki, w których urządzone sypialnie dla chłopców i przodowników. Poza Niemcami reprezentowanych było 14 narodowości, a mianowicie:

- Belgia — 1 przodownik i 8 chłopców,
- Anglia — 2 przodowników i 10 chłopców,
- Estonia — 2 osoby,
- Holandia — 1 chłopiec,
- Indie — 1 chłopiec,
- Irlandia — 1 chłopiec,
- Włochy — 1 przodownik i 5 chłopców,
- Liberia — 1 chłopiec,
- Norwegia — 11 chłopców (w tym 2 przodowników),
- Polska — 3 chłopców,
- Szwecja — 1 chłopiec,
- Szwajcaria — 1 chłopiec,
- Ukraina — 2 chłopców,
- USA — 1 przodownik.

Samo wyliczenie narodowości wskazuje, że obóz miał na prawdę zakrój międzynarodowy. Wiek uczestników wahał się od lat 14 do 19. Posługiwali się oni językami angielskim, francuskim, włoskim, norweskim i niemieckim, ale każdy chłopiec znał poza językiem ojczystym przynajmniej jeden język obcy, co oczywiście ułatwiało porozumienie. Międzynarodowy podkład obozu występował we wszystkich zajęciach; w czasie posiłku przy każdym stole siedziało 12 chłopców, dobranych również w taki sposób, aby przedstawiciele różnych narodowości mieli sposobność do wzajemnych kontaktów. Kierownictwo spoczywało w rękach p. Alan Andrews ze Światowego Związku YMCA; pozostałe funkcje administracyjne objęli przedstawiciele czterech różnych narodowości.

Starannie przemyślany program przewidywał m.in. zawody i treningi sportowe, gry, dyskusje w grupach, śpiew zbiorowy, ogniska. Nie zapomniano oczywiście o potrzebach religijnych; ze względu na to, że uczestnicy należeli do różnych wyznań, starano się mieć tę okoliczność stale na względzie. Katolicy w pierwszą i drugą nie-

dzielię byli na Mszy Świętej w Sierenburg, w trzecim zaś tygodniu Msza św. została odprawiona przez księdza katolickiego w obozie. Miłe urozmaicenie programu stanowiły wycieczki do Kassel.

Ciekawym przedsięwzięciem było utworzenie „rządu“ chłopców. Delegaci organizowali wybory i zajmowali się czynnie sprawami obozowymi. „Gabinet rządowy“, w którym nie zbrakło również polskiego przedstawiciela, przez sześć dni był odpowiedzialny za całość życia obozowego i na ogół dobrze wywiązał się ze swych zadań, zwłaszcza jeśli się uwzględni pewne komplikacje, jakie sprawić musiała różnorodność. W pewnych przypadkach dokonano nawet ulepszeń w stosunku do stanu poprzedniego, np. jeśli chodzi o funkcjonowanie jadłodajni.

Polaków reprezentowali dwaj chłopcy, skierowani przez Polską YMCA w Londynie, i jeden z obszaru Niemiec zachodnich.

TANCERZE LONDYNYSKY POLSKIEJ YMCA

Zespół taneczny Polskiej YMCA wystąpił w ramach uroczystości dożynek, organizowanej tradycyjnie przez Związek Rolników Polskich w Wielkiej Brytanii. Tancerze nasi wykonali ze zwykłą sprawnością i brawurą krakowiaka, kujawiaka i mazura, zbierając rzesiste oklaski.

Zaledwie przeminęły emocje, związane z dożywkami, a już zespół stanął przed nowym zadaniem. Związek Studentów przy Organizacji Narodów Zjednoczonych przystąpił do organizowania nowego festiwalu tanecznego przy udziale dwudziestu trzech narodowości. Polaków reprezentuje, podobnie jak w latach ubiegłych, zespół taneczny Polskiej YMCA. Festiwal odbędzie się w dniach 16 i 17 października w londyńskim Royal Albert Hall.

Pokaz tańców polskich w wykonaniu naszych tancerzy został sfilmowany. Zdjęcia wypadły tak udatnie, że zamieszczono je w dzienniku filmowym, przeznaczonym do wyświetlania w kinach.

PRZYPOMNIENIE ROCZNIC

GRUDZIEŃ

5. 1925 — Zmarł Władysław Reymont, polski laureat nagrody Nobla za twórczość pisarską (ur. w 1867 r.).
- 1867 — Urodził się Marszałek Józef Piłsudski.
9. 1936 — Zmarł Andrzej Strug (Tadeusz Gałęcki), wybitny pisarz (ur. w 1873 roku).
11. 1876 — Urodził się Mieczysław Karłowicz, wybitny kompozytor polski (zmarł w 1909 r.).
12. 1860 — Urodził się Jan Kasprówic, wybitny poeta (zm. w 1926 r.).
13. 1867 — Zmarł Artur Grottger, znakomity rysownik i malarz.
17. 1921 — Zmarła Gabriela Zapolska, wybitna autorska powieści i dramatów (ur. w 1860 r.).
18. 1526 — Wybór Zygmunta II Jagiellończyka (jeszcze za życia ojca, Zygmunta I) na króla Polski.
21. 1898 — Maria Skłodowska-Curie odkrywa rad.
22. 1840 — Mickiewicz rozpoczyna wykłady na Uniwersytecie paryskim.
24. 1798 — Urodził się Adam Mickiewicz (zm. w 1855 r.).
27. 1918 — Wybuch powstania wielkopolskiego przeciwko Niemcom.

STYCZEŃ

1. 1858 — Pierwsze wystawienie opery narodowej „Halka“.
5. 1860 — Urodził się Roman Statkowski, wybitny kompozytor, m.in. autor opery „Maria“ opartej na poemacie Malczewskiego.
9. 1865 — Zmarł Henryk Kamieński, wybitny polski myśliciel i pisarz (ur. w 1812 r.). Część jego prac została ogłoszona na emigracji.
15. 1855 — Urodził się Ludwik Solski, wybitny aktor polski.
15. 1869 — Urodził się Stanisław Wyspiański, wielki poeta i autor dramatyczny (zm. w 1907 r.).
19. 1320 — Arcybiskup gnieźnieński koronuje Władysława Łokietka na króla polskiego.
20. 1826 — Zmarł Stanisław Staszic, wybitny publicysta, myśliciel i mąż stanu.
22. 1863 — Wybuch powstania styczniowego.
23. 1921 — Zmarł wybitny kompozytor polski Władysław Żeleński (ur. w 1837 r.).
26. 1699 — Pokój karłowicki z Turcją. Polska odzyskuje straty terytorialne na Podolu i Ukrainie łącznie z twierdzą Kamieniecką. Od tej daty rozdźwięki polsko-tureckie ustały.
28. 1905 — Krwawa demonstracja na placu Grzybowskiem w Warszawie.
29. 1826 — Urodził się Romuald Traugutt, naczelnik powstania styczniowego w roku 1863.

POLSKA YMCA W NIEMCZECH ZACHODNICH PROSI O KSIĄŻKI DLA DZIECI

Obozy i osiedla, w których zamieszkują pozostający w Niemczech Polacy, są pełne dzieci. Małe dzieci w wieku przedszkolnym stanowią zazwyczaj połowę ogólnej liczby mieszkańców. Są to dzieci, które przyszły na świat już na obczyźnie, w latach powojennych.

YMCA jest w położeniu szczęśliwszym od innych organizacji z tego względu, że rozporządza siecią sekretarzy YMCA Światowej, obejmującą cały obszar Niemiec Zachodnich, co pozwala na utrzymanie bezpośredniego kontaktu z każdym ugrupowaniem ludności polskiej, choćby stosunkowo nielicznym.

Mimo braku wszelkich środków finansowych, braku pomieszczeń i materiałów, w każdym prawie obozie znajduje się kilka wyrobionych społecznie jednostek, gotowych do pracy dla ogółu. Główną ich troską są właśnie dzieci polskie. Za kilka lat pójdą one do szkół niemieckich i jeśli będą pozostawione same sobie, grozi im wynarodowienie. Dom rodziców, toczących ciężką walkę o byt, często żyjących w nędzy, nie daje pewności, że niebezpieczeństwo to zostanie zażegnane.

W wielu skupieniach polskich na obszarze Niemiec czynne są polskie przedszkola i skromne szkoły polskie. Muszą one borykać się z brakiem pomieszczeń, ławek, zeszytów i książek.

Przede wszystkim **k s i ą ż e k !**

YMCA Światowa rozpowszechniła znaczne ilości pomocy naukowych i polskich podręczników. Polska YMCA w Niemczech wydała w roku ubiegłym mały śpiewniczek dla dzieci, zawierający proste i ładne piosenki. Dzisiaj najbardziej potrzebne są:

książki dziecięce i młodzieżowe, bajki, opowiadania, zbiory wierszyków.

Zbyteczne jest wyjaśniać, jak doniosłe znaczenie ma książka z polską bajką, polskim wierszykiem czy piosenką dla powiązania naszych dzieci na zawsze z polskością. Dlatego Polska YMCA w Niemczech przystępuje do *akcji zbiórki i akcji zakupu książek dziecięcych i młodzieżowych na gwiazdkę dla dzieci polskich w Niemczech*. Polska YMCA w Niemczech prosi gorąco wszystkich Polaków, którym leży na sercu przyszłość dziecka polskiego, aby tę inicjatywę poparli. Pomoc można okazać w sposób dwojaki:

1. zbierając w gronie znajomych książki „wyczytane“,
2. zakupując odpowiednie książki i zachęcając do tego innych.

YMCA prosi *nie o pieniądze, ale o książki dla dzieci*. Zebrane lub zakupione książki należy wysyłać w małych paczkach jako druki (dopuszczalna waga dla tego rodzaju paczek — 3 kg) pod następującym adresem:

YMCA/YWCA for Poles, Hamburg-Blankenese, Manteuffelstrasse 20, c/o MSO, Germany.

Pożądane jest, aby przesyłki wpłynęły przed końcem listopada roku bieżącego. Przy wysyłce wszelką radą i techniczną pomocą służy Polska YMCA w Wielkiej Brytanii, 46/47 Kensington Gardens Square, LONDON, W.2.